

Rozdział 9 „Coldbrew”

„Zawód boli tym bardziej, im z wyższych spadamy oczekiwań.”

– Proszę mnie puścić! – żołnierz RNP w stroju hazmat zaczynał robić się agresywny. Puściłam go, a po chwili stanęłam przed nim i mierząc go wzrokiem chłonełam informacje.

Coldbrew tu był! Był niedaleko i musiałam coś zrobić, aby go uwolnić. Tak bardzo chciałam go znowu zobaczyć.

– Przepraszam... To mój chłopak!

– Przykro mi to słyszeć... – odpowiedział żołnierz, po czym zostawił nas samych sobie i wrócił na swój posterunek.

– C... Co on miał na myśli? – spytałam po chwili Frostyego.

– Nie zwracaj na niego uwagi. Propaganda mocno demonizuje Przyływ – powiedział uspokajającym tonem. – Pewnie już miał głupie myśli, że psy zjadają kucyki – widząc moją minę zmieszał się i szybko dodał: - Skoro psy sprowadziły go tutaj, oznacza to, że jest im potrzebny. Raczej go zbytnio nie skrzywdzą. Martwy im się nie przyda.

Niezbyt mi to pomogło, ale Frosty miał rację. Musiałam być silna. Potrzebowałam pomocy i musiałam szybko zorganizować sposób, aby dotrzeć do ich obozu i odbić Coldbrew. W głowie przemykały mi tysiące myśli jak to zrobić. Moi przyjaciele na pewno by mi pomogli...

– Sparkplug... Mamy robotę do wykonania – Frosty szturchnął mnie, ukrytym w jego specjalnym hazmacie, dziobem niczym kucyk. – Pieniądze na pewno pomogą ci w twoim celu.

– Masz rację. Wybacz. Nie mogę zebrać myśli – rozejrzałam się po mieście spowitym zieloną mgiełką i poczułam, że już się zgubiłam. Ulica wyglądała upiornie i jedyne, co było w niej widać to kontury budynków oraz światła lamp, lampionów i świec. Night Gown nie posiadało wielkich murów, jak Stalliongrad, ale podejrzewałam, że poziom promieniowania trzymał wrogów na bezpieczną odległość. – Jak te ghule mogą tu żyć? Ledwo widać koniec ulicy!

Jak na zawołanie z kubła na śmieci, niczym postać na starych filmach, wyskoczyła mała klaczka. Była wielkości dziecka, jeszcze nie do końca wyrosnięta, ale jej pozbawione sierści ciało, zapadnięty nos i szklące się oczy, świadczyły o tym, że już nigdy nie urośnie. Dziecko stało się ghulem. Pierwszy szok z jej pojawienia się chciał ustąpić miejsca smutkowi, że takie maleństwo zostało tak okrutnie potraktowane przez los, ale zanim zdążyłam się odezwać, maleńka odwróciła się w stronę ulicy i krzyknęła:

– Hej! Ta pani chce wiedzieć jak możemy tu żyć!

Gdy ujrzałam pierwszą parę fosforyzujących oczu, która zwróciła się w moją stronę we mgle, prawie krzyknęłam ze strachu. Potem do pierwszej pary dołączyły kolejne i następne! Co najmniej kilkanaście, których wcześniej nie zauważyłam pośród wolno ustępujących kłębow mgły.

Ktoś gwizdnął przeciągle, a Frosty zastąpił mi drogę, zasłaniając mnie od Ghuli, gotowy do obrony. Dopiero teraz dostrzegłam, że na bokach miał dwie butle, schowane pod opuszczonymi dotąd skrzydłami i że na szponach miał zamontowane dysze. 'Miotacze?'

Z jednej z witryn doszedł nas dźwięk gitary, a ghule zbliżając się do nas zaczęły ustawiać się rzędami wzdłuż ulicy i stukać rytmicznie kopytkami w takt muzyki. Mała ghulica, kucyk ziemski swoją drogą, ubrana w resztki kombinezonu środowiskowego, zaczęła podskakiwać rytmicznie i wkrótce otworzyła usta, aby uraczyć nas śpiewem.

Po raz kolejny, od czasu gdy sama poczułam tę magię, byłam świadkiem spontanicznego śpiewu kucyków. Ghule, choć przerażające w swej aparycji, były wciąż kucykami i ich serca nadal pragnęły śpiewać i dać się ponieść muzyce, którą każdy z nas miał we krwi. Nawet Frosty się rozluźnił, opuszczając swobodnie swoje skrzydła. Oboje obserwowaliśmy rozwój wydarzeń.

Mała ghulica miała cudownie brzmiący głos, niepodobny do pozostałych, skrzeczących głosów dorosłych ghuli. Po sekundzie jej śpiew rozniósł się wzdłuż ulicy, a przez moment zastanawiałam się, czy wyćwiczyła go śpiewając wiele razy.

♪♪Such a strange pre-occupation♪♪

Such a strange peculiar breed

How it's shining in its armour

Made of gold and made of steel

It can strike a chord inside you

Like a generation's need

Speaking happy words of promise

Mała klaczka odwróciła się do nas śpiewając i wskazując kopytkiem cień budynku górujący ponad wszystkimi innymi w oddali. Nie był to nawet cień, ponieważ jego kształt był jaśniejszy niż reszta budynków. Na to ghul grający na gitarze uderzył mocniej w struny i pozwolił tym reszcie Ghuli dołączyć do śpiewu z ich upiornym chórem:

Big generator

Lives out of sight

Big generator

Hooves upon the wheel

Moving to the left

Movin'

Ghule po prawej stronie klaczki załomotały kopytami w chodnik, aby po chwili pozwolić zrobić to tym z lewej strony.

Moving to the right

Big generator!

Moving through the night!

Klaczka w tym czasie zakręciła się w miejscu i ruszyła przed siebie, a my ruszyliśmy za nią, porwani magią melodii. Kopytka żrebięcia stukały rytmicznie, gdy podskakiwała i śpiewała dalej:

Second nature sacrifice

Even if you close your eyes

We exist through this strange disguise

I have heard it said to someone

Or maybe it was me

There is a reason to experience

Psychedelic so we could see

Mała wskazywała kopytkiem na kolejne rzeczy, a chór Ghuli podążał za nami rytmicznie stukając kopytami. Najpierw wskazała na siebie i na ghule, potem zamknęła oczy i objęła się przednimi kopytkami, aby po chwili wystrzelić w górę jak naciągnięta sprężyna. Udawała, że nasłuchiwała ze strony wskazanego wcześniej budynku, (czy może naprawdę słuchała?) a następnie wyskoczyła w świecąca kałużę na ulicy z taką siłą, że napromieniowane krople wyniosły się w powietrze oddając kalejdoskop dziwnych barw, jednocześnie otaczając śpiewaczkę szaloną, zielonkawą poświatą.

To be growing up before us

Like the black and white of love

Be the focus

Be the chorus

Ghule znów włączyły się do śpiewu, a my biernie obserwowaliśmy jak ich podniszczone ciała odstawiają *danse macabre*... Tyle, że pełniejszy życia niż cokolwiek, co widziałam kiedykolwiek w Stajni. Dalej cała gromadka zaczęła już śpiewać razem:

Big generator

Hooves upon the wheel

Big generator

In for the kill

Second nature comes alive

Even if you close your eyes

We exist through this strange device

Moving to the left

Moving to the right

Big generator

Moving through the night

We are the voices of the big generator

Moving through the night

Movin'

Flying out the soft machine, we offer

All surprise to you

Praise oh praise this anthem generator

Moving through the night

Movin'

We are the voice of every. . .

Gdy śpiew się skończył, malutka podziękowała innym ghulom i stanęła naprzeciwko nas. Była uśmiechnięta, przez co jednocześnie obnażała w ten sposób zepsute ząbki.

– Ghule zdrowieją tam, gdzie jest dużo promieniowania. Generator daje nam dużo promieniowania i jesteśmy tu szczęśliwi! – wyjaśniła, jakby myśląc, że jej piosenka nie dała nam do zrozumienia jak ważny dla nich jest stary reaktor. Uśmiechnęłam się do niej ciepło, gdyż wciąż była dzieckiem.

– Ślicznie zaśpiewałaś. Jak się nazywasz? – spytał po chwili Frosty, pochylając się do niej i również się uśmiechając.

– Jestem Songbird! – zaszczebiotała wesoło.

– Ja jestem Frosty a to jest Sparkplug – przedstawił nas i po chwili dodając: - Musimy się dostać do Elektrowni. Czy znasz jakiś szybki i bezpieczny skrót?

Klaczka chwilę się namyślała, przekręcając główkę w obie strony i drapiąc się po brodzie. Wreszcie rozpromieniła się (*bez żartów*) i podskoczyła parę razy w miejscu.

– Tak! Zaprowadzić was?

– Oczywiście kochanie – wtrąciłam się z uśmiechem, a ta, aż pisnęła z radości.

Zaczęła nas prowadzić krętymi uliczkami Night Gown, a my mogliśmy spokojnie porozmawiać idąc za nią. Frosty był raczej czujny i rozglądał się dookoła w bardzo ptasi sposób. A może to był gryfi sposób? Nie widziałam do tej pory chyba żadnego ptaka na żywo, na pewno nie z bliska. Uśmiechał się tylko ilekroć Songbird zatrzymała się by nas zawołać bo zostaliśmy w tyle. Ogromny, posępny niczym uśmiech trupa, budynek elektrowni zbliżał się dosyć szybko.

– Trzeba dawać maluchom powody do radości. Są najślabsze – powiedział gdy mała pobiegnęła w przód i nie mogła nas usłyszeć.

– Jak to?

– Ghule to bomby zegarowe, Sparkplug – powiedział ponuro i uśmiechnął się machając szponem do małej na rogu, paręnaście metrów dalej. – Prędzej, czy później każdy z nich szaleje. Niektórzy są starzy i długo się jeszcze nie zanoszą na to, że stracą rozum, tak jak twój przyjaciel, Pan Gallant, ale to nieuniknione – wydełam policzki na takie szykanowanie mojego przyjaciela, ale po chwili zauważyłam, że Frosty mówił to z dziwnym smutkiem w oczach. – póki mają nadzieję i umieją cieszyć się życiem, nie są same i mają przyjaciół, są odporniejsze.

– Skąd tyle wiesz o ghulach?

– Stanowią jedną z izb parlamentarnych w Prance. W RNP są obywatelami takimi jak ja i dlatego dużo zrobiono, aby zintegrować ich z resztą społeczeństwa.

– Wy i ten wasz rząd. Chyba nigdy go nie ogarnę – pokiwałam głową, ale gdy tylko spojrzałam znowu na Songbird przypomniało mi się coś...

Necro-kucyk westchnął ochryple, przyprawiając mnie o dreszcze i wrócił do swojego napoju.

– Wszędzie uprzedzone sierściuchy... - z każdym wypowiedzianym przez niego słowem wpadałam w drgawki, ale wydawał się spokojny i nie zwracał już na mnie uwagi, wracając do swojego drinka.

Ghule nie były dobrze traktowane na Pustkowiach. To, że stanowiły część rządu większego państwa było niesamowitym osiągnięciem. Punkt dla moich pracodawców.

Frosty był przez jakiś czas cichy i wydawało się, że dalszą drogą minie nam w milczeniu, gdy w końcu zapytał:

– Patrząc na to przez zawzięcie: Wierzysz, że uda ci się wykraść twojego chłopaka?

– Tak – odpowiedziałam mu bez wahania.

– Rozumiem... – znów zamyślił się na chwilę, aby w końcu dodać – Jeżeli potrzebowałabyś pomocy, poszukaj mnie w barakach.

Nie sądziłam, że kiedykolwiek skorzystam z jego pomocy, więc tylko mu podziękowałam z uśmiechem. Pomoże czy nie, jego gest się liczył.

– A ty masz kogoś, Frosty?

– Kiedyś była taka gryfka z eskorty pogodowców i jedna klaczka z miasteczka, w którym się zaczęłam niedługo po rozbiciu tamtych Podpalaczy przez RNP – odpowiedział z uśmiechem.

– Co się stało, że ci się nie udało? – spytałam próbując podtrzymać rozmowę.

– No... Gawdynie skończył się kontrakt i poleciała gdzieś ze swoimi Szponami, poza tym, miała już dzieci. Raczej by nic z tego nie wyszło, dla niej najważniejszy był kontrakt – uśmiechnął się, zdradzając, że nie było tak źle.

– A z tamtą klaczką?

– Młodzi byliśmy. Ja byłem niegrzecznym chłopakiem, którego połowa rówieśników miała dość... A ona była z dobrego domu, samego burmistrza – skrzywił się nieco. – No i trochę się pobujaliśmy, a jak jej ojciec się dowiedział to wyznaczył za mnie nagrodę. Że niby zgwałciłem... Wiesz jacy są starzy... Mój pewnie też nie chciałby, abym się z kimś kiedyś zadawał...

W tym momencie Songbird doprowadziła nas do celu i nie pozostawiła mi dużo czasu na rozmyślanie. Pożegnaliśmy małą ghulicę i przekroczyliśmy bramę wejściową elektrowni.

* * * * *

Wymiana osłon w okablowaniu sieci wewnętrznej była mniej wymagającym chodzenia zadaniem, niż pamiętny posterunek w murze Stalliongradu, ale wymagał dużo większego wysiłku od nas obojga. Pracowaliśmy parę godzin i co jakiś czas moja magia zaczynała się wyczerpywać. Zdarzyło mi się kiedyś wypalić, dlatego gdy byłam już blisko urządziłam sobie przerwę, a wtedy Frosty przejmował pałeczkę i wszystko montował przy użyciu swoich chwytnych kończyn. Za każdym razem dokuczliwie rzucał uwagę na temat tego, jak to jego palce są lepsze niż magia jednoroźca, czym denerwował mnie coraz bardziej.

W wolnej chwili, wykorzystując wyłącznie szczątkowe zasoby mojej magii, postanowiłam stworzyć prosty manipulator w oparciu o zakłęcie, którego nauczyła mnie Sun. Przypominał on zawieszone w powietrzu szczypce bardziej niż szpon gryfa i nie był tak wszechstronny, ale udało mi się nim złapać kartkę perfekcyjnie zachowanej dokumentacji. Przysięgłam sobie, że poznam tajemnicę szponów i zawstydzę Frostyego.

Ku mojemu zaskoczeniu, zakłęcie było wyjątkowo mało wymagające i wkrótce mogłam wrócić do pracy, aby razem z Frostym używać śrubokręta i wkręcać śruby mocujące osłony. Ten, aż zagwizdał w swoim kombinezonie gdy zobaczył, jak mogłam używać narzędzi bez prawdziwej telekinezy, albo pyszczka. Poczułam wewnątrz niesamowitą satysfakcję. Szybko skończyliśmy naszą pracę i mogliśmy wrócić do Stalliongradu.

* * * * *

Gdy zebraliśmy się wieczorem u Gallanta miałam nadzieję, że moi przyjaciele wywiążą się z obietnic i zapewnień, że mi pomogą, jednak spotkało mnie rozczarowanie, które zламаło mi serce.

Gallant na początku ucieszył się z informacji, że mój Coldbrew żyje, ale gdy usłyszał o moim planie by ruszyć mu na pomoc, pokręcił głową.

– To samobójstwo Sparkplug. Nie pomożesz mu, jeżeli zmienisz się w sopel. Będiesz osłabiona i nawet jeśli dotrzesz do ich obozu, to jak planujesz go stamtąd wyciągnąć? Nie masz pojęcia, jak sroga jest zima na zewnątrz murów.

– Przecież... Przecież nie może być gorzej niż tu.

– Stalliongrad ma swoje pegazy pogodowe, kochanie – wtrąciła się Grease Junkie. – tutaj da się przeżyć, ale na zewnątrz zamrzniesz w krótkim czasie.

– Jak w ogóle wyobrażasz sobie dotrzeć do ich obozu?

– Po lodzie...

– No okej, może utrzymałby nasz ciężar... – westchnął po chwili ghul. – Jak masz zamiar odnaleźć go w obozie? Tam będzie pełno psów. Wilków też.

– Pójdę sama do obozu. Jeden kucyk się tam schowa, mają inne kucyki w swoich oddziałach.

– Masz zerowe doświadczenie w infiltracji. Poza tym, Przyływ cię poszukuje, będziesz łatwo rozpoznawalna.

– Ale...

– Żadnych ale! – przerwał mi, a ja prawie się od tego rozplakałam. – To samobójstwo. Za mało przygotowań, za mało czasu i zła pora. Nie pomogę ci się zabić, Sparkplug.

Łzy pociekły mi po policzkach i wybiegłam z mieszkania. Grease i White Veil za mną krzyknęły, ale nie słuchałam. Pobiegałam do siebie, aby móc uciec od swoich własnych przyjaciół. Czy oni... Czy on nie rozumiał jakie to było dla mnie ważne?

* * * * *

W domu otwierałam okno swojego pokoju i dostrzegłam, że można przez nie wyjść na dach. Nie zwracałam uwagi na to, że w każdej chwili mogłabym się potknąć, spaść na bruk i się zabić. Chciałam być wysoko i ponad wszystkim, co mnie przytłaczało. Moi przyjaciele mnie zdradzili... No, nie zdradzili, ale złamali mi serce i zawiedli mnie i pokładaną w nich nadzieję.

Przysiadłam na naszym kominie. Nie paliło się na dole, ale ciepło z żaru jaki zawsze zostawialiśmy z Veil gdy wychodziłyśmy z domu, wciąż grzało moje siedzenie. Spojrzałam na nocne niebo i biegnący po nim Księżyc w pełni. Nie bałam się już bezkresu nieba, a noc zdawała się być przyjazna. Była jak mrok w Stajni, gdy wyłączono na noc oświetlenie korytarzowe, czy gdy rodzice gasili światło w moim pokoju. Gwiazdy i srebrny okrąg przepięknie odbijały się w akwenie portu i migotały niczym niewzruszone. Nasz świat musiał być dla nich tak odległy, jak one dla nas, a jednak czułam się, jak gdyby przyglądały się właśnie mi.

Tato kiedyś powiedział mi, bym nie bała się ciemności, że jeśli są w niej faktycznie potwory, to nie widzą mnie tak samo, jak ja ich i mogę się przed nimi ukryć. Wiedziałam już, że gdy udam się do obozu Przyływu, pójdę tam pod osłoną nocy. Nie wierzyłam w boskość księżniczek, ale czułam, że Luna byłaby zadowolona.

Usłyszałam stukot i po chwili na dach weszła zielona klaczka w mundurze Ochrony Blackfire. Veil spojrzała na mnie smutno i zarazem pytająco. Posunęłam się i zrobiłam miejsce by mogła ze mną usiąść. Byłam już nieco spokojniejsza, a Veil nigdy przecież nie zobowiązała mi się pomóc i nie odradzała mi mojego planu.

– Sparkplug, on po prostu się o ciebie martwi... Oni wszyscy.

– Gallant? Hrmpf! – prychnęłam wciąż nieco zła.

– To prawda! – zawstydzila się. – Ja ci pomogę...

– Veil... Nie musisz... Ty już dość się w...

– Wycierpiałam? – przerwała mi – Może... Ale to, że już mam dość nie sprawi, że Pustkowie sobie pójdzie. Pomogłaś mi, kiedy nikt kogo w życiu znałam by tego nie zrobił. Nie jestem wspaniałą bohaterką przygód z bajek, ale pomogę ci jak będę umieć. Tylko powiedz mi co mam zrobić.

Usłyszałyśmy trzepot skrzydeł. W mej pamięci rozbłysnęło wspomnienie Guildensterna i już chwyciłam za broń, aby wyszukać celu. Ciemny kształt wylądował na naszym dachu i sprawił, że Veil schowała się mimowolnie za mną.

– Cześć Sparkplug... Co robicie na dachu? – odezwał się Frosty, pozwalając księżycowi oświetlić jego dziób.

– Podziwiamy gwiazdy. A ty co tu robisz? – odpowiedziałam mu, zapinając kaburę mojego pistoletu.

– Rozpoczyna się pochód i parada nowego króla. Chciałem cię zapytać, czy nie chcesz ze mną iść – uśmiechnął się zawadiacko, a po chwili przeniósł swój wzrok na Veil. – Witam! Sparkplug, czemu nie przedstawisz mnie swojej uroczej przyjaciółce?

Veil schowała się za mną jeszcze mocniej, ale po chwili udało mi się ją uspokoić.

– White Veil, to jest Frosty. Jest moim ochroniarzem gdy pracuję dla RNP. Frosty, to jest moja przyjaciółka, White Veil. Razem uciekłyśmy z niewoli. Pamiętasz jak ci opowiadałam?

– Tak! Tak, oczywiście – zreflektował się i przysiadł przed nami wyciągając do Veil przednią łapę zaciśniętą w pięść, imitując tak kopytko do przybicia.

Veil długo się wahała, ale gdy zachęciłam ją wzrokiem i uśmiechem, przełamała się i przybiła mu kopytko. Frosty wydawał się być miłą alternatywą do moich przyjaciół i też zaoferował mi przecież swoją pomoc. Postanowiłam że z nim pójdę, a po powrocie zobaczę ile warte były jego słowa.

* * * * *

Veil nie chciała nam towarzyszyć, wybierając swoje łóżko i samotność. Nie chciała nam przeszkadzać swoją osobą oraz nie lubiła tłumów. Pożegnaliśmy się z nią i ruszyliśmy. W międzyczasie mogłam opowiedzieć mojemu ochroniarzowi, co mnie spotkało ze strony moich przyjaciół. Nie potępił ich, mówiąc że mieli trochę racji, ale powiedział też, że zawsze wolał sam się przekonać, czy coś jest niemożliwe. I że moi przyjaciele nie mogli wziąć pod uwagę że on mi pomoże.

Parada przebiegała główną ulicą prowadzącą wprost do siedziby RNP. Wszędzie widać było kolorowe girlandy i czerwone proporce z białą sylwetką herbu Stalliongradu: skrzyżowanymi uskrzydłonymi młotem i kilofem i trzema gwiazdami pod nimi. Orszak króla przemieszczał się powoli wzdłuż ulicy otoczony szpalerem ogierów w białych pancerzach i z siodłami bojowymi. Pośrodku orszaku znajdowała się dwupiętrowa platforma ciągnięta przez ogiery ziemne, a na jej szczycie znajdował się ornamentalny tron, na którym siedział król otoczony sześcioma jednorożcami w bordowych mundurach i w szpiczastych czapkach. Ich rogi lśniły wielobarwnie, a wokół platformy i tronu drgało powietrze, jakby ledwie widoczna bariera oddzielała go od otoczenia. Co pewnie było prawdą.

Król był młody. Na oko był faktycznie młodszy ode mnie, tak jak wspomniał mi parę dni temu Frosty. Miał śnieżnobiałe umaszczenie i błękitną grzywę okalającą jego młodzieńczy pyszczek niemal jak welon. Nosił ciężki, czerwony płaszcz z gronostajów, a jego skroń zdobiła korona o pięciu rogach, której środkowy szpic obejmował obręczą róg

jednorożca. Był czysty, a jego futro wyglądało o wiele lepiej niż moje kiedykolwiek. W myślach pamiętałam uwagę Guildensterna wygłoszoną pod kątem mojego własnego futerka.

Razem z Frostym zajmowaliśmy miejsca na tarasie baru znajdującego się przy głównej drodze i czekaliśmy, aż będziemy mogli ujrzeć orszak z bliska, gdy do nas podjedzie. Na razie mogłam tylko obserwować go przez przyniesioną przez Hipogryfa lornetkę.

Wokół nas siedziały i rozmawiały kucyki, a taras od drogi oddzielał kordon ogierów w białych pancerzach. Mimowolnie podłapałam parę słów z rozmowy oficera RNP z policjantem Stalliongradzkim, którzy przechodzili obok nas, w kierunku pochodu.

– Czy królewski orszak nie natknie się na żadne nieprzyjemności?

– Oczywiście! – odpowiedział oficer - Przez ostatnich parę dni dokonywaliśmy rekonesansu i pomagaliśmy przesuwając niedogodny element. Nasze areszty pękają w szwach. Aż wstyd, że wraz z kolonistami i siłami ekspedycyjnymi na Południe przywieźliśmy tylu recydywistów.

– Nie martwię się o waszych rzezimieszków, Copper Field... – policjant machnął kopytkiem od niechcenia.- chodzi mi o tę waszą epidemię. Ufam, że chorzy zostali ulokowani w placówkach.

– To nie epidemia! Mamy wszystko pod kontrolą. Chorzy znajdują się pod opieką lekarzy, a nawet jeśli mieliby wejść w kontakt z orszakiem, nasi lekarze już zdołali określić, że to nie jest zaraźliwe przez kontakt fizyczny...

To co usłyszałam było co najmniej dziwne. Jakaś epidemia, ale pod kontrolą, nie przenosi się drogą fizyczną... To jak się przenosi? Kichanie? To też fizyczne...

– Frosty, o jakiej epidemii oni mówili?

– Hmmm – mój towarzysz zamyślił się na dłuższą chwilę. – jest parunastu chorych. Nic super groźnego, przynajmniej dla postronnych. Nikt z naszych lekarzy nie był świadkiem zarażenia i wśród żadnych z nich nie wystąpiły symptomy, a nie zawsze stać ich na sanitarne warunki. Co jakiś czas trafiają nam się jednak nowi zarażeni z miasta.

– Jakie są objawy?

– Duże spektrum. Jedni mającżą, inni tracą przytomność i zapadają w śpiączki. Wszyscy jednak mają olbrzymią gorączkę i często krwawy pot. Nie chcą przyjmować pokarmu, apatia... No i wszyscy zostali pogryzieni.

– To może przez to pogryzienie?

– Nie wiem. Many Verges nie dał rady wyciągnąć nic więcej od lekarza, z którym pił – po chwili się zreflektował: – Many to mój kumpel z oddziału.

– Pomoże nam?

– Tak. Załatwi mam uzbrojenie.

Po chwili widziałam, jak do przedstawicieli prawa, których podsłuchiwałam podbiega jakiś ogier jednorożca w bordowym mundurze i przekazuje im w gniewny sposób jakieś polecenia. Słowa, które udało mi się wyłonić z ich rozmowy to „znaleźć” i „uciekł”.

Orszak przejechał obok nas, a król na szczycie swojej platformy pomachał do wszystkich, w tym nas, radośnie swoim kopytkiem. Jak na kogoś kto niedawno stracił bliską osobę, wydawał się zbyt radosny.

Przed naszym stolikiem przebiegła w chwilę potem zaaferowana i wyraźnie zaniepokojona Peach Ball w swoim mundurze, ale także i w hełmie. Gdy zobaczyła Frostyego, szybko podbiegła do nas, dysząc.

– Frosty! Mamy mobilizację! – wystękała urywanym zdaniem, ledwo łapiąc oddech. – Centrala wezwała wszystkich lataczy! Musimy przeczesać dzielnię... – teraz mnie zauważyła i się zmieszała. Zrozumiałam, że prawie powiedziała coś, czego nie powinnam usłyszeć. Frosty zerwał się na równe nogi, ale popatrzył na mnie zmieszany, ewidentnie czując się winny, że ma mnie opuścić.

– Lećcie! – powiedziałam mu bez nutki zażenowania w głosie. – Macie swoje obowiązki.

– Zobaczymy się potem u ciebie, Sparks!

Po chwili oboje odlecieli na swych skrzydłach. Wciąż dziwnie było widzieć inne kucyki (i gryfy) niż Coldbrew posiadające skrzydła. Nawet w Stajni była to niesamowita rzadkość i o ile pamiętałam dobrze, populacja naszych pegazów wynosiła około czternastu. Ale nawet Frosty i Peach, choć tak bardzo inni niż mój Coldbrew, posiadali ten dziwny sposób poruszania się, który zdradzał, że są gotowi w każdej chwili ruszyć i wzbić się w przestworza.

* * * * *

Parada wciąż trwała w najlepsze, ale ja nie czułam już ani chęci, ani potrzeby by dalej brać w niej udział, więc ruszyłam do domu. Mój PipColt posiadał co prawda tylko mapę z krętą drogą jaką przebyliśmy z Frostym, aby się tu dostać, ale dzięki niej określiłam skrót w prostej linii, jaki musiałam przebyć by szybciej wrócić do domu.

Szybko pożałowałam zabawy w nawigatora, gdy parę razy próbując obejść ulicę trafiłam w ślepe zaułki. Zaczynałam czuć się niesamowicie malutka, gdy próbowałam nawigować po widoku znad dachów blokowisk, które upchnięte ciasno tworzyły klaustrofobiczny labirynt. Uczucie samotności potęgował fakt, że uliczki, poza co poniektórymi latarniami, były nieoświetlone i nawet w większości okien w domostwach nie dało się dostrzec światła. Wyobrażałam sobie, jak to miasto musiało wyglądać w czasach, gdy wszystko to było w miarę nowe i działające. Musiało wyglądać piękniej niż blokhaus klasy wyższej w Stajni 69...

Gdy trafiłam na kolejny ślepy zaułek i musiałam zawrócić, usłyszałam krzyki kucyków i tętent kopyt uderzających w bruk. Zza rogu wybiegł i zakręcił w moją stronę żreback, na oko trzynastoletni i nie patrząc gdzie biegnie, wpadł na mnie. Przewróciliśmy się oboje, jednak on o wiele szybciej stanął na nogi i pobiegł dalej, aby dosłownie sekundę potem wyhamować przed wysoką na piętnaście metrów ścianą.

Wstałam obolała, chcąc skarcić łobuza za wpadanie na zgubione kucyki po nocy, gdy on zawrócił i znów stanął jak wryty, aż siadając przy tym na zadku.

– Co tu się...

Odwrociłam się w stronę, w którą patrzył żrebak i ujrzałam trzy kucyki ubrane w skóry nabite ćwiekami i z zielonymi bandanami na szyjach i ustach. Nosili w zębach pałki i noże, dwa do jednego. Stałam na prostych nogach, zwrócona bokiem do opryszków, którzy najwyraźniej nie byli pewni, czy powinni mnie zignorować, czy nie. Zrozumiałam, że to przed nimi uciekał młody. Wszystkie to były kucyki ziemne, ale najbardziej wysunięty na przód okazał się klaczą.

– Czego od niego chcecie? – spytałam, nie będąc pewna, czy dam radę. Szybki skok w SATS pozwolił mi określić czy moi potencjalni przeciwnicy nie mają broni palnej. Nogi jednak mi się trzęsły... Nie było tu ze mną moich przyjaciół i czułam, że nikt mi nie pomoże w walce. Na pewno nie ten młody.

– Panienko, lepiej się nie mieszaj, tylko daj nam dzieciaka – na głos klaczy z pałką owiniętą łańcuchem żrebak schował się za mną, wtulając się w mój bok. – Jak tak zrobisz, to ci nic nie zrobimy... – jej koledzy oblizali się lubieżnie i jeden z nich wymamrotał pod nosem coś, co ociekało wręcz profanacją.

Wtedy właśnie poczułam, że nie mogę się cofnąć. Stając między nimi, a dzieckiem wzięłam na siebie odpowiedzialność za jego bezpieczeństwo. Jeżeli bym się cofnęła, Luna jedna wie co mogliby mu zrobić.

Moje nogi przestały się trząść. Byłam silna. Byłam tą Sparkplug, która pomogła uwolnić kucyki z niewoli Guildensterna, jednak teraz już ją rozumiałam. Mój płaszcz policyjny i pancerz, rewolwer Raspberry Heaven, moje stanięcie w obronie słabszego... Byłam tą, która przeciwstawi się złu.

Koledzy znęcają się. Wszyscy odwracają wzrok. Troska w głosie taty. Pobłażliwy śmiech Coldbrew...

Stałam pewniej i spojrzałam w oczy klaczy przede mną. Była większa i na pewno silniejsza. Na pewno mogłaby zabić mnie jednym ciosem jej drewnianej pałki.

– Popelniacie dwa poważne błędy, wiecie? – powiedziałam twardo, zamiatając ogonem i zakrywając nim dzieciaka. Mój róg rozbłysnął fiołkowym światłem, co spowodowało, że koledzy klaczy postąpili krok naprzód. Ta jednak ich zatrzymała.

– Jakie niby? – wycedziła przez pałkę w zębach.

– Po pierwsze, dręczycie dziecko... Przy mnie – moje kopytko rozbłysło, a aura zaczęła formować palce szponu.

– A chuj ci do tego?! – warknęła – Pewnie nawet nie wiesz kim jest!

– Jest dzieckiem... Tyle mi starczy!

– A jaki jest niby ten drugi, gówniario?

Uśmiechnęłam się wrednie i wyszczerzyłam zęby. Jej kolesie stężeli niepewni na tego, co się stanie. Palce na moim kopytku zacisnęły się nerwowo.

– Przychodźcie z pałkami i nożem... Na strzelaninę!

SATS zadziałał natychmiastowo. Uniosłam magiczny szpon, wyrwałam z kabury pistolet i wycelowałam go w przywódczynię. Rewolwer wypalił prosto w pałkę przywódczyni gangu. Kula spenetrowała broń i zapaliła ją od środka, wyrrywając ją przy tym z uchwytu klaczy. Czas przyspieszył.

Płonący kawałek drewna poszybował w kierunku jednego z kolegów klaczy. Łańcuch obwiązał mu kopytko, a on zaczął krzyczeć i uciekać, a po chwili dołączył do niego jego uzbrojony w nóż towarzysz. Klacz stała przede mną, sparaliżowana stuporem.

– Uciekaj – powiedziałam twardo, nie pozwalając euforii towarzyszącej udanemu zaklęciu mnie ogarnąć gdy miałam inne rzeczy na głowie.

– Jeszcze nam za to zapłacisz! – warknęła jeszcze zanim uciekła, krzycząc wyzwiska za swoimi zbiegłymi towarzyszami.

Po wszystkim odwróciłam się do młodego i na chwilę zamarłam, gdy mogłam mu się wreszcie przyjrzeć. Żrebak patrzył na mnie zielonymi oczami okalanymi granatową czupryną. Jego róg wystawał spomiędzy włosów zdradzając jego dziedzictwo a biała maść nie pozostawiała wątpliwości, co do tego w imieniu kogo się wstawiłam. Wiedziałam już też, kogo szukali Peach i Frosty...

Samego króla Stalliongradu.

* * * * *

Młody król wydawał mi się normalnym dzieckiem, choć był nieco poważniejszy niż wskazywałyby na to jego wiek. Był, pomimo młodej aparycji, rok ode mnie młodszy i tylko jego mała budowa sprawiała wrażenie, że jest jeszcze młodszy. Był też niezwykle grzeczną i dobrze wychowaną osobą, bo pierwszym, co zrobił gdy zagrożenie zostało wyeliminowane były żarliwe podziękowania i przeprosiny za kłopot. Zawstydził mnie tym nieco i zakłopotał, gdy wciąż nie wiedziałam jak się do niego zwracać. Jego zachowanie jednak wskazywało na to, że nie szuka specjalnego traktowania. Zupełnie brakowało mu tej samej aury autorytetu, które posiadali chociażby nasz Nadzorca, czy Szef Baton Bash.

– Czy się zgubiłeś, wasza wysokość? – spytałam wreszcie, chociaż nieco niepewnie.

– Um... – tytuł wyraźnie go krępował. – Nie... Ja... Uciekam.

– Przed czym... Przed tamtą trójką? – ciężko było utrzymać w stosunku do niego nie patronizujący ton głosu, gdy wydawał się zagubionym dzieckiem potrzebującym przytulenia.

– Nie... Przed... Przed tronem...

Tymi czterema słowami zabił mi ćwieka.

Był taki czyściutki i zdrowy, wyglądał na kogoś, kto nie będzie nigdy potrzebował o nic w życiu się martwić, a jednak od tego uciekał.

– Dlaczego uciekasz?

– Bo... Ja tego nie chcę... Chciałem być wolny... – mówił z zawzięciem, ale jego bunt wydawał się słabnąć w obliczu rzeczywistości jaką zobaczył na ulicach Placu Stalowego.

– Wolność nie wydaje się już tak wspaniała? – spytałam go, starając się nie brzmieć prześmiewczo. Wiedziałam z doświadczenia co przeżywa, choć w przeciwieństwie do niego, ja nie miałam wyboru.

– Odkąd uciekłem z orszaku, wszyscy chcą mi zrobić krzywdę! Ci mówili, że chcą się zemścić za to, że Ojciec wpuścił na Plac Stalowy RNP...

Popłakał się i wydawał się jeszcze bardziej zdenerwowany i zdesperowany niż wcześniej. Widziałam, że wstydzi się płaczu, ale jeszcze bardziej wstydzi się tego, że jego decyzja okazała się błędna i nieprzyjemna. Spuścił wzrok i pociągnął nosem. Więc go przytuliłam. Na początku się opierał, ale po chwili dał się ponieść emocjom i zaczął płakać w moją opancerzoną pierś. Głaskałam go po głowie i tuliłam, chłonąc namiastkę uczuć jakich zawsze pragnęłam od życia. Mogłam poczuć się choć trochę jak matka. Nie pomagał mi w tym jednak fakt, że tulony był ode mnie zaledwie rok czy dwa młodszy. Zdałam sobie jednak sprawę z tego, że parę miesięcy temu sama byłam w podobnym położeniu.

Gdy już się wyplakał, spytałam go, czy chce wracać. Pokornie potaknął i ruszyliśmy.

– Hej... Jestem Sparkplug. A ty? – spytałam go wreszcie. Uśmiechnął się na to.

– Marble Rain.

– Jak to jest, że jesteś tutaj i jednocześnie tam na platformie?

– To mój sobowtór. Jest bardzo podobny... To środek bezpieczeństwa.

– Wychodzi na to, że też sposób by nie rozpuszczać wieści, że uciekłeś, co?

– Um... Pewnie tak... – położył po sobie uszy.

– Co teraz chcesz zrobić?

– A nie zamierzasz mnie oddać straży?

– Chciałabym, ale ty musisz zdecydować – uśmiechnęłam się do niego. – czy chcesz wrócić do domu?

Cała sytuacja wydawała mi się tak bardzo surrealistyczna. Rozmawiałam z królem, osobą, dla której kucyki były gotowe walczyć i chronić go, dla której zmobilizowano poszukiwania gdy tylko zniknął z orszaku. Oczywistym było to, że nawet jeśli młody tego nie chciał, był potrzebny i wiele od niego oczekiwano.

– Nie chcę... – wydał wargi – Nigdy tego nie chciałem!

– A co byś robił tutaj?

– Tu mnie zaraz znajdą. Muszę uciec z miasta! – mówił z determinacją, jednak jego broda drgała w uczuciu bezsilnego buntu.

– A co chcesz robić na zewnątrz? Wiesz co cię tam czeka?

– Wolność! Byłbym Panem sam sobie, nie więźniem pałacu.

Widziałam w nim tak wiele z siebie... Z siebie sprzed paru miesięcy, zanim odkryłam śpiącą we mnie obrończynię.

– Nie masz przy sobie nic, nawet broni. Spotkałeś kiedyś Łupieżców?

– Nie... Ale...

– Łupieżcy to potwory w kuczej skórze – przerwałam mu. Zdziwił się, wyraźnie nienawykły do takiego traktowania i pozwolił mi mówić dalej. – zrobią ci krzywdę bo to lubią, nie będzie ich obchodzić kim jesteś.

– Więc im ucieknę!

– Nie dałeś rady uciec trzem kucykom – dociełam mu.

Umilkł. Trafiłam w czuły punkt i wiedziałam, że już wygrałam dyskusję, ale chciałam by wyciągnął z niej coś więcej niż udowodnienie błędu. Czułam się zupełnie jak wtedy gdy rozmawiał ze mną Baton Bash ilekroć coś przeskrobałam jako źrebię, tylko role się odwróciły. Zawsze umiał mi udowodnić, że z mojego błędu da się wyciągnąć naukę, która przyda się w życiu. Postanowiłam więc sprawdzić, czy posiada również dumę przynależną jego wysokiemu rodowi i czy uda mi się do niej odnieść.

– Wiele kucyków na tobie polega. Czy na pewno chcesz je zawieść?

– Nie! Ale ja nie wiem co zrobić! Nie byłem gotów... Ojciec...

– Dlaczego te kucyki cię nienawidziły? - przerwałam mu stanowczo, ale spokojnym tonem. Przemierzaliśmy właśnie park o dziwnie zachowanej roślinności. Lampy ledwie tu świeciły, więc wspomagaliśmy się latarką mojego PipColta.

– Już ci mówiłem – odpowiedział przez zaciśnięte zęby - ponieważ mój ojciec wpuścił tutaj imigrantów z RNP!

– A dlaczego tak im to przeszkadza? – moje pytanie go zaskoczyło.

– Mówili, że RNP się rządzi i wprowadza swoje prawa, mając w poważaniu tych, co mieszkali w tej dzielnicy przed nimi.

– A kto taki tu mieszkał?

– Rzezimieszkowie i wygnańcy, przestępcy i kucyki, które nie wypracowały swojej części dla Stalliongradu.

– Czy tylko oni?

– Nie rozumiem pytania.

– Widziałam w mieście dzieci, wiele z nich nie wyglądało jak obywatele RNP. Czy to możliwe, że to były dzieci tych, którzy tu trafili w ten czy inny sposób?

– M... Możliwe... – zająknął się. – ale co to zmienia? To dzieci przestępców!

– Rain... – stanęłam w miejscu i spojrzałam mu głęboko w oczy. Położył po sobie uszy, ale nie odwrócił wzroku – właśnie robisz tym dzieciom to, co dzieje się tobie.

– Jak to? Oni... One...

– Nie wybrały sobie rodziców. Tak samo jak ty nie wybrałeś swojego taty – teraz spuścił głowę, a powieka dziwnie mu podrygiwała. – Nie możesz winić je o to, czemu nie są winne.

– Ale... Skoro ty to rozumiesz, to czemu tamci mnie nienawidzą? Na pewno też to wiedzą.

– Szukają kogoś, na kim mogliby wyładować swoją złość i gniew. Robią źle, ale niekoniecznie muszą być z tego powodu źli... Coś ich boli. A ból nieraz każe szukać ujścia.

– Nie wiem, co mam teraz zrobić...

Przytuliłam go do swojego boku i ruszyłam z nim dalej. Czułam, że w końcu do niego docieram.

– Masz dwie opcje. Albo uciekniesz i będziesz żył jak kucyki tutaj, pełne przemocy i gniewu oraz nienawiści, albo wrócisz i spróbujesz złagodzić ich gniew, sprawić, aby zapomnieli złe efekty decyzji twojego taty, a zaczęli mówić o dobrze jakie dzięki nim możesz uczynić.

– Ale... Ale ja nie dam rady... Boję się.

– Rain... Parę tygodni temu opuściłam Stajnię – zatrzymałam się na skrzyżowaniu dróg w parku. Chore drzewa szeleściły swoimi nagimi gałęziami na wietrze.

– Porwano bliską mi osobę i próbuje ją odnaleźć. Ale zginęłabym już na początku podróży gdyby nie okazało się, że właściwe kucyki o możliwościach i zasobach we właściwym miejscu i czasie potrafią odmienić los kogoś, kto znalazł się w potrzebie.

Przypomniałam sobie pierwsze śniadanie, jakie przygotowała dla mnie Whitesabre, to jak Gallant obronił mnie przed psami, a potem wystąpił przeciwko całemu miasteczku w mojej obronie. Jak Killerdose dbał o mnie w niewoli...

– Świat tutaj jest okrutny. Blednie jednak przy tym, co spotkasz na zewnątrz murów swojego królestwa Rain. Morderstwo, niewolnictwo, gwałt, rabunek, zdrada. Życie tam jest warte ledwie parę kapsli – uśmiechnęłam się do niego ciepło. – Ale tutaj jesteś bezpieczny. Jesteś potrzebny. To ty będziesz rządził tym królestwem i to ty będziesz mógł sprawić, że kucyki będą mogły żyć tu w pokoju. Masz możliwość i zasoby, aby to zmienić. Dlatego uważam, że powinieneś wrócić.

Długo milczał, chłonąc moje słowa. Mówiłam do niego z głębi serca, pozwalając uczuciom płynąć. Wreszcie spojrzał na mnie i otarł nos w kopytko. Teraz zauważyłam, że był jeszcze bez swojego uroczego znaczka.

– Wrócę... Postaram się to wszystko naprawić. Będę naciskać...!

– Zuch chłopak – pochwaliłam go czochrając mu czuprynę, przy okazji sprawiając że młody całkowicie spalił raka.

Na wpół martwe drzewa zaklekotały złowieszczo na wietrze i trupy krzaków zaczęły trzeszczeć w mroku. Rain wtulił się w mój bok i zadrżał. Też czułam, że coś jest nie tak i wyjęłam z kabury mój rewolwer.

Wiatr wiał potężnie i świszczał w uszach. Wydawało mi się, że usłyszałam szepty:

– Kto tam? Jest tam ktoś?

Szept ułożył się w słowa. Głos był zniekształcony od szalejącej wichury, jednak mogłam usłyszeć wyraźne zdanie, wypowiedane rytmicznie.

Mrs. Sandmare, bring me a dream

Make her the cutest that I've ever seen

Odbezpieczyłam pistolet i powiodłam lufą po okolicy, czując jak nerwy zapalają w mojej głowie ostrzegawcze lampki. To nie był magiczny śpiew kucyków który porwał je w tan, ani nic temu podobnego.

– Pokaż się!

Give her two lips, like roses and clovers

And tell her that her lonesome nights are...

Wystrzeliłam w powietrze. Płonąca kula poszybowała w niebo niczym maleńka gwiazda i ku naszemu zaskoczeniu wiatr w jednej sekundzie umilkł.

Over...

– Witajcie... Moje małe kucyki...

Z krzaków przed nami wyszedł kucyk... Czy raczej coś tylko przypominające go z kształtu. Miał cztery kopyta, ale na tym etapie podobieństwa już się kończyły. Jego głowa wyglądała jakby należała do olbrzymiej jaszczurki, z dwójgiem głęboko osadzonych, żółtych, gryfich oczu. Tam, gdzie kucyk miałby uszy, jego głowa posiadała dwa zakrzywione, czarne rogi. Z jego dolnej szczęki wystawały dwa długie zęby, jak szable dzika, ale gdy mówił, widać było, że pozostałe jego zęby są ostre i liczne. Miał długi ogon niczym smok z obrazka, pokryty pionowymi wyrostkami, a z jego grzbietu wystawały po obu bokach, po dwa odrostki, jak gdyby kikuty... skrzydeł. Pokryty był zieloną, długą sierścią i był większy od nas.

Wycelowalam w niego mój rewolwer i trzymając go na muszce, gotowa by uruchomić SATS, zrobiłam krok wstecz.

– Nie szukamy zwady. Zostaw nas.

Potwór oblizał się po swych kłach i wyszczerzył jak gdyby moje słowa tylko go zachęcały.

– Lubię, gdy stawiają opór...

Jego słowa uruchomiły w mojej głowie zapadki, które wprawiły w ruch cały organizm. SATS zabrzęczał. Trzy strzały w głowę w kolejce. Widziałam jednak nie potwora ze Stalliongradu, a tego białego z Apple Mall. Zwolniłam blokadę zaklęcia.

Czas przyspieszył i ukazał w zwolnionym tempie, jak kula rozpalona ogniem rozpoczyna swój lot w stronę potwora. Ku mojemu przerażeniu, uchylił się i zrobił to samo z pozostałymi dwoma kulami, za każdym razem ledwo ocierając się o nie. Był tak szybki, że pomimo spowolnienia jakie wywołało SATS skoczył w moją stronę z rozcapierzonymi łapami i rozwartym pyskiem. Próbowałam zamknąć oczy, a przed nimi przewinęło mi się całe życie. To był mój koniec i nastąpił rozbłysek.

Nieznana, pokryta pomarańczową poświatą kula przeszła bok stwora i opuściła jego ciało pod innym kątem, w dół, rozrywając skórę na jego klatce piersiowej. Kula nie zatrzymała się jednak na tym, gdyż odbiła się od podłoża i przeszła od dołu pysk stworzenia, szybując potem pod niebo.

Nie miałam dość czasu by dziwić się dziwnym rykoszetom bo chwilę potem w drugi bok potwora uderzyły jednocześnie pomarańczowe, uszponione tylne kopyto oraz niebieskie, zwykłe. Stwór odleciał na parę metrów w bok, a mój SATS wreszcie się wyłączył.

To co nastąpiło następnie było w kompletnym kontraście do tempa nadanego przez zaklęcie celownicze: niemal natychmiastowe. Frosty wylądował przede mną i natychmiast odgrodził nas od potwora strugą ognia z jego miotaczy. Peach Ball stanęła między nami i zasłoniła nas swoim ciałem i rozpostartymi skrzydłami, pytając czy nic nam nie jest.

Potwór krwawił, ale pomimo tak silnych obrażeń stał na wszystkich łapach i wydawał się niezrażony pojawieniem się kolejnych przeciwników. Dopóki w moje pole widzenia nie wszedł nieznany strzelec.

Nosił mundur RNP, czerwony beret i opaskę na prawym oku. Spod beretu wystawały stojące na sztorc blond włosy oraz róg jednorożca, który trzymał w magicznym uścisku pistolet, przy którego wielkości rewolwer Raspberry Heaven wydawał się malutki i nic nie znaczący. Zielony kucyk ruszył naprzód i otworzył ogień do napastnika.

Potwór tak jak w przypadku mojego strzału odskoczył, unikając uderzenia, jednak pocisk odbił się od kamienia leżącego w trawie za nim i ugodził go w zadnią nogę, tym razem wyrwijąc się z grzbietu i uciekając w niebo.

Potwór jęknął z bólu po raz pierwszy i odpuścił atak, dodatkowo przepłoszony falą ognia, jaką posłał za nim Frosty. Szybko zniknął uciekając w trupi przegląd drzew w parku.

Siedzieliśmy z Rainem z równie mocno rozdziawionymi ustami, podziwiając to, jak w dziwny i finezyjny sposób nasz strzelec rozprawił się z naszym napastnikiem. Ten spokojnie przeładowywał swój pistolet (bardziej armatę!) a do nas dwojga przypadła pierzasta dwójka.

Frosty uklonił się nisko królowi, jednak Peach była bardziej przestraszona o jego i moje zdrowie niż tym, że nie zadbała o właściwą etykietę. Obejrzała nas ze wszystkich stron niczym nadopiekuńcza matka i wypytywała czy nic sobie nie zrobiliśmy.

– Nic nam nie jest – zapewnił ich Rain, teraz, gdy opadł z nas strach, wydawał się niemal podekscytowany – Waszmości byli niesamowici! Ten ogień! Strzały! I dynamiczne wejście!

– Dziękuję za ratunek. Jak nas znaleźliście? – zapytałam, gdy Marble zaczął przyglądać się z bliska milczącemu, tajemniczemu jednorożcowi.

– Um, zobaczyliśmy coś jakby flarę i Frosty przekonał mnie żebyśmy to sprawdzili – odpowiedziała Peach, a Frosty napuszył się niczym paw. *Czy jego ptasia strona była pawiem?*

– Też tak tu trafiłem – powiedział w końcu zielony jednorożec. Pozwalał akurat Rainowi obejrzeć grawerunki na jego pistolecie.

– Dziękuję. Uratowaliście nas! – ucieszył się Rain, jak gdyby strach jaki nim wcześniej władał nigdy nie zaistniał. – Jak się nazywacie?

– Frosty.

– Peach Ball.

– Many Verges.

Cóż, właśnie poznałam kucyka który miał załatwić mi zaopatrzenie. Widząc co umie zrobić z bronią, uznałam że lepiej trafić nie mogłam.

* * * * *

Nie musieliśmy długo czekać zanim odnaleźli nas gwardziści Stalliongradu. Ich pancerze były niemal identyczne do tych, jakie widziałam już wcześniej, jednak ich grzbiety przykryte były czarnymi płaszczami ze złotymi lamówkami. Każdy z nich pokłonił się nisko przed królem, a przed szereg wysunął się jeden z nich, który nie nosił hełmu. Jego szara sierść i czerwona, krótko ostrzyżona grzywa rzucały się w oczy przy bieli pancerza.

– Wasza wysokość! – jego głos wydawał się pełen ulgi i troski. – Obawialiśmy się, że coś ci się stało! Nie powinienes tak oddalać się od orszaku!

Marble spojrział tylko na mnie na krótką chwilę, jakby rozważał czy jednak nie uciec, ale wkrótce jego usta ozdobił uśmiech pełen pewności siebie. Przytaknęłam mu, a on odwrócił się do swojej straży.

– Musiałem poznać moich poddanych kapitanie – powiedział z dumą. – a przy eskorcie orszaku i całej tej paradzie nie mogę dostrzec co trapi mieszkańców mojego miasta.

– Mogłeś nas uprzedzić... Moglibyśmy coś zaaranżować...

– Dziękuję, ale nie było to potrzebne. Popadłem w dosyć mocne tarapaty, to prawda, ale ci wspaniali obywatele RNP przyszli mi z pomocą i upewnili się, że nic mi nie groziło.

Należy im się pochwała i rekomendacja do major Aquila Bear i do ambasadora Sidewindera.

Zarumieniłam się i zakłopotana odwróciłam wzrok. Moi znajomi zrobili to samo... Za wyjątkiem Many'ego, który schował tylko swój pistolet do kabury i sztywno zasalutował, wypinając swoją pierś z wizerunkiem koguta RNP.

– Tak się stanie, Wasza wysokość! – potwierdził kapitan i uklonił się nam z nieudawanym szacunkiem.

– Później podam ci ich imiona, teraz, gdybyś mógł odprowadzić mnie do pałacu? Mój zastępca może zająć się paradą do końca.

Marble pożegnał się jeszcze z nami. Moich towarzyszy pożegnał zwykłymi ukłonami i słowami, ale mnie pożegnał cichym i niskim ukłonem, czym przypawił swojego kapitana gwardii o osłupienie. Potem odeszli.

– No... Mam nadzieję, że nie było tak źle? – przerwał wreszcie milczenie Frosty.

– Nie... Było trochę strasznie na koniec, ale wyszło na dobrze... Dziękuję, że nas uratowaliście. Tego stwora wypadałoby odnaleźć... – spojrzałam w krzaki, w których zniknął potwór. Następnie podeszłam do Many Vergesa i ukloniłam mu się nisko. – Dziękuję ci za pomoc. Mogło być źle.

Many spojrzał na mnie. Jego wzrok nie był gniewny, ale biła z niego twardość i szorstkość. Sprawiał wrażenie kogoś opanowanego i pewnego siebie. Bardzo przywodził mi na myśl Gallanta ale kiedy on był wyluzowany i pogodny, Many wyglądał na spiętego i ponurego.

– Nie ma za co. Dobrze było pomóc.

Jego głos był niski i szorstki. Jakby ktoś przejechał po policzku papierem ściernym. Koniuszek jego ust jednak drgnął w subtelnym uśmiechu.

– Frosty mówił, że pomożesz nam z zaopatrzeniem? – usiadłam na przeciwko niego, a po chwili Frosty i Peach do nas dołączyli.

– Tak. Frosty miał u mnie przysługę, a poza tym, on nigdy nie prosi jeśli nie uważa tego za słuszne.

– Miło mi to słyszeć. Frosty, ty tutaj wymyśliłeś jakiś plan – uśmiechnęłam się do hipogryfa. – Opowiesz go nam?

– Tak, ale wolałbym to omówić przy wszystkich. Jesteśmy już całą grupą poza White Veil. Może pójdziemy do was i z nią omówimy ten plan? O ile nie śpi – zaproponował w zamian.

– Brzmi rozsądnie. Chodźmy.

* * * * *

Podróż nie zajęła nam zbyt długo i pozwoliła mi się dowiedzieć, że Peach Ball także postanowiła nam pomóc. Jako żandarmetka miała dostęp do różnych informacji dotyczących obsadzenia stanowisk strażniczych i mogła nam pomóc się wymknąć. Uważała, że moi przyjaciele za szybko spisali mój zamiar na straty, nawet sprzeciwiając się tym własnej matce i postanowiła nam pomóc.

Dotarliśmy wreszcie do mojego mieszkania, gdzie Veil powitała nas siedząc przy rozpalonym kominku i pijąc z blaszanego kubka coś, co pachniało jak herbata. Nieco przstraszyła ją ilość niezapowiedzianych gości, ale udało jej się szybko rozpogodzić.

Zasiedliśmy wszyscy w kręgu przy rozpalonym kominku, część na ziemi, część na stołkach i fotelu. Ogień i mrok sprawiały, że mała kłaczka wewnątrz mojej głowy czuła się jak podczas tajnego spotkania. Daleko nam było do tajności, jednak wszyscy zachowywali powagę.

– Skoro już wszyscy tu jesteśmy, wypadłoby ustalić dokładnie, jakie będą nasze role w nadchodzącym przedsięwzięciu – zaczął Frosty, przeciągając się i strosząc pióra. – w ciągu najbliższych trzech dni trwać będzie festiwal z okazji koronacji. Pierwszym punktem naszego spotkania powinno być ustalenie, czy w ogóle będziemy w stanie jakoś wydostać się ze Stalliongradu niepostrzeżenie.

– Czy nie moglibyśmy zeskoczyć z muru i na przykład byś nas zniósł na dół? – zaproponowałam.

– Odpada – pokręcił głową Many. – Próba wyjścia tą drogą spowoduje wykrycie przez strażników muru. Raczej nie pozwolą nam tak opuścić miasta. Nie puszczą nas też wolno w dzień, Stalliongrad został zamknięty na zimę.

– To może podkop? – zaproponowała nieśmiało Veil. Wszyscy spojrzeli na nią jakby powiedziała, że jest księżniczką. Wszyscy, poza Peach.

– Genialne! – krzyknęła – i dobrze się składa! Możemy wyjść przez Night Gown! Tunel jest prawie nie obsadzony, a ja zamieniłam się akurat wartą z Apple Tart, bo bardzo chciała iść na chociaż ostatni dzień festiwalu. Jakoś wymyślę sposób by was przepuścić.

– No to mamy już punkt wyjścia – zadowolony Frosty skłonił lekko głowę w stronę Veil z uznaniem. Ta schowała pyszczek pod koc i patrzyła na nas wyraźnie zawstydzona. – Jeżeli mamy wyjść przez Night Gown, będziemy potrzebować antyradu i kombinezony antyradiacyjne... Many, byłbyś w stanie je załatwić?

– Niestety, odpada – znów pokręcił głową nasz jednooki towarzysz. Nie podobało mi się, że jest tak negatywnie nastawiony. – Kombinezony i leki podchodzą pod jurysdykcję korpusu medycznego, a tam nie mam wstępu. Sam wiesz czemu.

– Fakt... Gdyby tylko te kombinezony nie były takie drogie, zwyczajnie bym je kupił... – hipogryf podrapał się po brodzie.

– Um... Killerdose ma parę w klinice, w której pracujemy... – Veil nieśmiało podniosła kopytko ponad koc. Gdy znów została uraczona grupowym spojrzeniem szybko je schowała. – mogę spróbować je wynieść... Lekarze ich używają gdy zostają wezwani do wycieku w kopalniach...

– Świetnie! – Frosty pokazał jej kciuk w górę. – Jesteś niezastąpiona! – Veil już cała spaliła raka, co przywitałam ciepłym uśmiechem. Była przeurocza. – potrzebujemy tylko trzech, jeden dla Coldbrew, i trochę Antyradu.

– Idą tylko dwie osoby? – spytałam. Pozostali również zdawali się pytać go wzrokiem. – myślałam, że pójdziemy wszyscy razem.

– Niestety, więcej niż dwie osoby potrzebowałyby więcej amunicji i zapasów. Pochłonęłoby to o wiele za dużo pieniędzy i czasu, aby to zgromadzić – powiedział zdawkowo Many.

– To...

– Ja pójdę z tobą. Peach jest uziemiona na warcie, a ja jestem jedynym tutaj latającym. Przyda ci się ktoś, kto umie latać i z doświadczeniem w zwiadzie – Peach tylko mu potaknęła.

Długi czas jeszcze omawialiśmy szczegóły. Many okazał się o wiele bardziej pomocny gdy okazało się, że może zapewnić nam zarówno amunicję i broń dla Frosty'ego, jak i pożywienie oraz zestaw przetrwania, jaki mógł nam być potrzebny w skutej lodem dziczy wokół Stalliongradu. Nasz hipogryf miał zdobyć dla nas ołowiane pojemniki i ciężkie, zimowe ubrania.

Ostatecznym zadaniem, jakie zostało dla mnie do wykonania było zdobycie narzędzi takich jak przecinaki do drutu, śrubokręt i sam drut, który mógłby posłużyć do otwierania zamków. Wszyscy mieli swoje do zrobienia. Mieliśmy dwa dni na wykonanie naszych zadań. Mieliśmy wyruszyć w nocy, drugiego dnia festiwalu.

Mój Coldbrew był coraz bliżej.

* * * * *

Ruszyłam jeszcze tej samej nocy. Czułam się źle okradając warsztat, w którym pracowałam, ale próbowałam sobie to tłumaczyć wyższą koniecznością. Chciałam ratować Coldbrew! Poza tym, miałam zamiar zwrócić te narzędzia Grease gdy tylko wrócę.

Wejście do warsztatu nie było nadzwyczaj trudne, zwłaszcza że posiadałam klucz głównej bramy, aby móc czasami otworzyć warsztat wcześniej. Latarka z mojego PipColta oświetlała znaną mi drogę, gdy kompletowałam dwa zestawy narzędzi. Wszystko szło mi szybko do chwili gdy kierując się do wyjścia napotkałam w przejściu ciemną postać o świecących na żółto tęczęwkach.

W ciemności zalśnił róg, a żółta poświata uniosła pistolet. Drugi obłoczek magii zaświecił światło włącznikiem przy wejściu.

– Sparkplug? Co ty tu...? – Sunbeam stała z wyrazem zaskoczenia na pyszczku i celowała we mnie z pistoletu. Po chwili przesunęła wzrok na torbę przyczepioną do mojego płaszcza. – Nie... Tego się po tobie spodziewałam...

– Sun... To nie tak. Potrzebuję tych narzędzi... Zwróć je! – załkałam. Bycie złapaną na kradzieży przez nią było ostatnią rzeczą, jaką była potrzebna mojemu buntującemu się sumieniu.

Sunbeam opuściła broń i spojrzała na mnie ze smutnym wyrazem jej zdewastowanego pyszczka. Pokręciła głową i schowała pistolet.

– Mogłaś poprosić Grease. Wiesz, że by ci je pożyczyła – rzekła zawiedzionym tonem.

– Grease powiedziała, że mi nie pomoże. Chcę ratować swojego chłopaka, ale ona uważa że to samobójstwo i powiedziała, że nie przyłoży do tego kopyta – odpowiedziałam niemal płacząc. Sunbeam była dobrą osobą, która otworzyła się przede mną chociaż nie musiała. Nie chciałam jej sprawiać zawodu ani przykrości. Chciałam tylko ratować Coldbrew.

– Rozumiem... Czasami łatwiej prosić o wybaczenie niż o pozwolenie – odpowiedziała po chwili, uśmiechając się w ciepły, ale groteskowy sposób. - Będę cię kryła...

– Dziękuję! - uściskałam ją mocno, na co ona przywitała lekkim sapnięciem zdziwienia. Chyba nie była nawykła do tulenia.

– Hej, ale mam trzy warunki!

Położyłam po sobie uszy, ale ona nie przestawała się uśmiechać. Poczochnała mi grzywę i pomogła zamknąć warsztat.

– Nie bój się, nic strasznego. Pierwszy warunek to taki, że masz nie dać się zabić. Musisz w końcu jakoś poprosić tę Grease o to przebaczenie, nie?

Potaknęłam energicznie na ten warunek. Nie zamierzałam rezygnować z życia po ratunku.

– Drugi warunek to - zaczęła, przerywając tylko, aby założyć kłódkę na rolecie frontowej warsztatu. – Nauczysz się w pełni zaklęcia ścianochodu. Nie wiesz kiedy może ci się przydać.

– Dobrze, ale mamy na to tylko dwa dni.

– Spokojnie, damy radę. To proste zaklęcie - Sunbeam upewniła się, że zamek jest dobrze unieruchomiony i ruszyliśmy w dół ulicy.

– A jaki jest trzeci warunek? - zapytałam wreszcie, gdy wyszliśmy z dziedzińca przed warsztatem na ulicę.

Ghulica obróciła się w moją stronę. Nie mogłam w to uwierzyć, ale na jej niemal pozbawionych pokrycia policzkach pojawiła się czerwień rumieńca.

– Umówisz mnie z tym swoim kolegą-ghulem. Tym przystojniakiem.

Nie pozostało mi nic innego jak tylko się zgodzić i uśmiechnąć ciepło.

* * * * *

Kolejny dzień minął mi na dziwnym połączeniu codzienności i wyczekiwania nieznanego. Sunbeam tłumaczyła mi zawilości swojego zaklęcia, jednocześnie pracując nad instalacją radiową w samowozie, który nam się trafił. Odczuwałam dziwne zawieszenie, jak gdyby wszystko to było snem.

Gdy skończyłyśmy naszą zmianę, byłam bogatsza o nową teorię, którą Sunbeam koniecznie chciała od razu sprawdzić w praktyce. Zabrała mnie ze sobą do opuszczonego budynku - czy raczej ruiny - mleczarni. Hala wewnątrz została ogołocona z niemal każdej możliwej maszyny i tylko, co poniekąd przerdzewiało kadzie stały jeszcze, aby przypominać sobą o dawnych dniach wspaniałości zakładu.

– Jesteśmy – stwierdziła, zamykając wielkie drzwi głównego wejścia. - Przy odrobinie szczęścia nie będziemy musieli przejmować się menelami.

– Ostatnio miałam dużo do czynienia z elementem. Wolałabym trochę odpocząć.

– Miałas?

– Ttiaa... - zastrzygłam uszami nasłuchując, czy echo naszej rozmowy nie wybudzi kogoś z letargu w ruinie. – Gangerzy, jakiś dziwny, agresywny mutant. Przed jednymi i drugimi uratowałam jakieś dziecko... Wyszło na to, że to był Król Stalliongradu... Wiesz, szara codzienność - zdobyłam się na udawany, przechwalczy ton. Mówiłam prawdę, ale nie mogłam uważać, że w to uwierzy.

– Król? No no, wiedziałam, że jesteś szalona, ale to już się robi ciekawe – i potwierdziły się moje przypuszczenia. – Kogo jeszcze spotkałaś?

– Księżniczkę Lunę – zakpiłam, obserwując szczura uciekającego za róg budki kierowniczej. - Mówiła, że niedługo skończy wakacje i nas wszystkich postawi do pionu.

– Mam nadzieję, że pozdrowi siostrę.... Gotowa na trening?

– Jasne. Od czego zaczniemy?

Sun podeszła do pobliskiej ściany i wskazała mi balkon powyżej. Dobre dziesięć metrów wyżej.

– Um... Nie za wysoko na początek?

– Nonsens, skarbie! To przechadzka o poranku! - rzuciła, jak jakaś dama z wyższych sfer.

Jej róg zabłysnął jasnożółtym obłokiem i powoli magia zamigotała wokół jej kopytek by wsunąć się pod nie i tam zniknąć. Ruszyła w stronę ściany, wzniecając od podłoża niemal niewidoczne iskry jej magii. Gdy podeszła do ściany podskoczyła lekko przykładając przednie kopytka do ściany. Grawitacja dla niej zmieniła swoją rolę gdy tupnęła zadnimi nogami o ścianę i ruszyła przed siebie w górę. Prostym, skocznym truchtem w ciągu pół minuty pokonała całą ścianę. Nie chciało mi się to ułożyć w głowie i im dłużej na to patrzyłam, tym bardziej niepokojące się to wydawało.

Po chwili machała już do mnie wychylając się przez barierkę. Jej magia załśniła ponownie i po chwili cisnęła na dół stertę starych, brudnych szmat.

- Ułóż pod ścianą i jazda na górę! Przy pierwszych paru razach pewnie spadniesz to lepiej byś się nie połamala!

Przełykając głośno ślinę przygotowałam swój materac, powstrzymując przy tym wymioty, i podeszłam do ściany.

– Tak, jak cię uczyłam! Magia w kopyta i nagnij ją! Ziemia jest tam gdzie dotykasz nogami!

Oczywiście łatwiej było mówić niż zrobić. Podeszłam do ściany, zamknęłam oczy i skupiłam magię. Powędrowała do moich kopyt i po chwili podniosłam przednie nogi i przyłożyłam je do ściany, podskakując tak jak Sun Beam.

Nogi przywarły do ściany... Te przednie. Tylne nie zostały przyciągnięte przez ścianę tylko opadły na ziemię zgodnie z grawitacją.

– Nie tak! - Ghulica zakrzyknęła z góry, rozbawiona. – Błąd początkującej! Skupiasz się na wszystkich czterech kopytach. Powinnaś to robić kiedy już wszystkie cztery są na ścianie! Kiedy zmieniasz podłoże musisz przenieść uwagę na jego powierzchnię!

Zacisnęłam zęby z gniewu i powtórzyłam próbę. I jeszcze raz. I jeszcze raz. I jeszcze sześć razy. Dopiero za dziesiątym razem udało mi się przylgnąć do ściany.

Stałam oparta o ścianę, pół metra nad materacami i nie czułam ciężenia w dół. Owszem, moje włosy i ogon opadały zgodnie z grawitacją ku ziemi, ale czułam się dokładnie tak jakbym stała normalnie.

– Sun! Udało się! Nie wierzę!

Już chciałam pobiec do góry, do niej. Po paru krokach jednak rozpędziłam się tak bardzo, że gdy wszystkie moje kopytka znalazły się w powietrzu mój czar prysł, a ja spadałam w dół, zakopując się w stercie brudnych ubrań. Upadek był bolesny, pomimo amortyzacji.

Mój zad bolał, a ja zwiјаłam się obok z bólu, nie zwracając już uwagi na to jak bardzo śmierdzi.

– Nic ci nie jest? – Beam była zaraz przy mnie, cała zaniepokojona.

– Tylko się stłukłam - wysyczałam przez zęby. - A już tak dobrze szło!

– Możemy na dziś skończyć... Nie spodziewałam się, że możesz sobie zrobić krzywdę.

– Nie. Nie ma mowy! – Zezłościłam się i podniosłam na cztery nogi. – Dam radę! Ta zapyziała ściana będzie moja! - syknęłam zaciskając zęby.

– Musisz uważać, jak szybko się poruszasz po ścianie - wyjaśniła mi, uśmiechając się dumnie. – Bardzo dobrze ci idzie, tylko musisz zawsze dotykać przynajmniej jedną nogą podłoża. Przynajmniej na początku. Do skoków jeszcze dojdiesz, ale to kwestia własnego rozwoju.

– Aha...

* * * * *

Po następnych trzech godzinach byłam obolała, zmęczona i wyczerpana psychicznie... i byłam w stanie galopować przy średniej prędkości nie tylko w górę lecz i w bok ściany i schodzić z niej na ziemię. Nie wiedziałam czy pachnę źle z powodu własnego potu, czy tego ile razy lądowałam w tych okropnych ubraniach, ale byłam z siebie dumna.

– Więcej już ci nie dam rady z tym pomóc. Podstawy znasz, teraz musisz już tylko ćwiczyć.

– Dzięki... Będę próbować w domu... O ile tam dojdę... – westchnęłam zeskakując ze ściany na ziemię i po chwili pozwoliłam moim kopytkom wysunąć się spode mnie i spoczęłam na posadzce.

* * * * *

Wieczór minął mi na kolejnych ćwiczeniach w domu. Nie do końca wierzyłam, że zakłęcie mi się przyda, ale fascynowało mnie na tyle bym chciała je opanować. Zwłaszcza, że wykorzystując zdobyte przy jego nauce doświadczenie pozwalało mi też dopracować moje własne zakłęcie. Magiczne szpony były coraz bardziej sprawne, a ich forma bardziej stała, pozwalająca na lepszą manipulację przedmiotami.

Usłyszałam pukanie w okno i z zaskoczeniem ruszyłam w jego stronę. Gdy już do niego podeszłam, otwarło się mocno z traskiem do środka. Przestraszona krzyknęłam i odskoczyłam do tyłu, bo coś to okno otworzyło. Coś miało skrzydła, dziób i szpony. Gryf stał w oknie i powoli wchodził do środka. Stukot dwóch kopyt o parkiet szybko jednak wyrwał mnie ze stuporu.

Frosty nastroszył pióra i uśmiechnął się po szelmowsku. W jednym ze szponów miał papierowa torbę.

– Hej... Przynio...

Nie dokończył bo do pokoju wpadła White Veil, wkopując drzwi do środka i trzymając pistolet laserowy w pyszczku.

– **Zostaw ją ty jebany skurwysynu, albo przestrzelę ci...**

Obje popatrzyliśmy na nią z przerażeniem i dopiero wtedy opuściła broń, patrząc na nas z niemal równym zaskoczeniem. Nasze rozdziawione usta sprawiły jednak po chwili, że nie wytrzymała i zaczęła najpierw chichotać, a potem wypuściła pistolet i zaczęła się normalnie śmiać.

– A ja myślałam... Że ktoś... - po chwili dołączyłam do śmiechu, a zaraz po tym Frosty.

Frosty... Moja magia uformowała szpony i zaczęłam ciskać w niego poduszkami z łóżka.

– Właśnie! Ty draniu, wystraszyłeś mnie! Mogłeś ostrzec!

– Przecież pukałem! - hipogryf śmiał się w najlepsze i rozpostarł skrzydła, chowając się przede mną pod sufitem.

Szybko rzuciłam w niego poduszką, która wydała z siebie chmurę pierza. Pod jej osłoną wbiegłam na ścianę, sufit i ostatecznie rzuciłam się na Frosty'ego, obejmując kopytkami jego szyję i własnym ciężarem strącając go na ziemię.

Gdy pierze opadło, ja leżałam na łapiącym powietrze Frostym, a Veil patrzyła z szeroko rozdziawionymi ustami na to co się działo. Dla odmiany ja zaczęłam się śmiać.

– Mam cię! - pacnęłam kopytkiem jego głowę.

– Masz... – zakaszlał, ale po chwili zdołał podnieść się na cztery nogi nawet ze mną na grzbiecie. Strząsnął mnie jednak szybko. – Złaź. Ciężka jesteś – mruknął i położył przede mną papierową torbę. - Przyniosłem żarcie.

Veil szybko nas opuściła, nie chcąc narzucać się swoim towarzystwem, pomimo naszych protestów. Okazało się, że Frosty przyszedł, aby dotrzymać mi towarzystwa i upewnić się, że moje morale nie opadło. Nie spodziewałam się go w ogóle ale fakt, że przyniósł ze sobą jedzenie na wynos mnie zaskoczyło.

– Sparks, a byłaś ty kiedyś w kinie? – zapytał w przerwie pomiędzy kęsami szaszłyka z iguany.

– Mieliśmy salę kinową w Stajni, ale byłam może na jednym filmie w życiu. Jakiś film dla żrebąt o jelonku któremu mamę zabiły zebry. A co?

– Na Placu Stalowym jest jedno działające kino. Może byśmy poszli, skoro jest nasz dzień? Ja stawiam!

Wydawało się to dobrym i ciekawym pomysłem, toteż ruszyliśmy wkrótce.

* * * * *

Sala kinowa w Kinie Sphynx była duszna, ale chłodna. Film, na który Frosty kupił nam bilety nosił prostą nazwę "Space Ranger". Żadne z nas nie miało pojęcia, co dokładnie będzie opowiadał, jednak wiedzieliśmy, że to będzie coś o kosmosie.

Z lekcji pana Right Date pamiętałam niewiele na temat podboju kosmosu przez kucyki, ale wspominał, że projekt kosmiczny został niesprawiedliwie zakończony przez wysiłek wojenny. Wspominał, że lądowanie na księżycu było przełomowe, gdyż po raz pierwszy ktoś odwiedził ten srebrny glob od czasów, gdy wróciła z niego Księżniczka Luna. Gdzieś po głowie kołatało mi się imię pierwszej astro-kłaczy, ale nie mogłam sobie go przypomnieć.

Sala wypełniła się kucykami wszelkiej maści i nawet parę gryfów w czarnych pancerzach zasiadło nieopodal nas. Frosty kupił dla nas prażone mrówki (po radrakanach i kretoszczurach musiałam przyznać iż były niemniej smaczne) i mogliśmy oddać się seansowi. Światła przygasły, a wielki ekran rozświetlił się przed nami.

Film poprzedzała kronika. Niedługi, dwudziestominutowy odcinek opowiadający o dzielnych żołnierzach Equestrii i ich zmaganiach na froncie. Czarnobiałe obrazy pokazywały

ich walkę, przeplatając starcia chwilami smutku oraz tryumfu. Na koniec wielki kucyk ziemny z połową jabłka jako jego uroczym znaczkiem wspiał się na wzgórze wraz z piątką żołnierzy różnych ras i razem zasadzili na jego szczycie flagę ze znajomym mi półksiężycem w konturze słońca.

Ostatnie ujęcie ukazało jego pyszczek podczas gdy niezwykle pompatyczny głos narratora ogłosił:

– Big Macintosh i jego maruderzy walczą za Equestrię dzień i noc! I ty możesz im pomóc! Zapytaj o szczegóły w najbliższym punkcie rekrutacyjnym Armii Powszechnej Equestrii. Mundur już na ciebie czeka!

– Eeyup! – skwitował to ogier z powiewającą w tle flagą.

Sama kronika dała mi już wiele do myślenia. Słyszałam wcześniej o Big Macu od Gallanta, gdy opowiadał mi historię Księżniczki Celestii. Film ukazywał go jako bohatera, który niósł sztandar pod ostrzałem zebr i nigdy nie wahał się walczyć. Od jego osoby biła niesamowita charyzma, podobna do tej, jaką czułam od Askariego gdy dowodził kucykami w Trottinghamie.

Film zaczął się zaraz po kronice. Przywitało nas animowane logo wytwórni, będące ryczącą mantikorą, otoczoną wieńcem z napisem w języku, którego nie rozumiałam. Pewnie oznaczało to coś mądrego.

Cóż, subtelność nie należała na pewno do cnót kucyków z dawnych czasów. Wielki napis "Space Ranger" skutecznie przypominał ci, jaki film przysłaś oglądać. Nie mogłam zapamiętać imion obsady aktorskiej, jednak podniosła muzyka uderzająca w niskie tony wprowadzała w odpowiedni nastrój. Ku mojemu zdziwieniu, w przeciwieństwie do kroniki, film był koloryzowany. Barwy nieco się zmyły i sprząły, ale wrażenie było niesamowite.

Film opowiadał o gwiazdnej klaczy o imieniu Shining Ray, będącej członkiem Galaktycznego Patrolu. Pięknie wyglądająca, czarna klacz jednoróżca ubrana w obcisły, seksowny, biało czerwony kombinezon przemierzała kosmos na pokładzie swojego statku kosmicznego. Jej złote oczy i pistacjowy ogon zwracały uwagę gdy wchodziła w interakcje ze scenografią.

Prowadząc daleki zwiad na rubieżach kosmosu Shining Ray odebrała wezwanie o pomoc od niezależnej kolonii kucyków na równinnej planecie. Na miejscu okazało się iż kolonijni naukowcy odkryli starożytne ruiny obcej cywilizacji i pragnąc posiąść ich wiedzę poprzez wydobyty z ruin artefakt oszaleli i zaczęli porywać innych kolonistów, więząc ich pod ziemią.

Ostatnia ocalała osoba, która mogła jej wyjaśnić co się działo, to był młody ogier jednoróżca, który pełnił w kolonii rolę wioskowego głupka. Był zielony, z szaro niebieską grzywą. Nazywał się Blast Door i był niezwykle tchórzliwy, ale to właśnie ten jego strachliwy charakter pozwolił mu przetrwać do przybycia Ray. Pomimo jej nieskrywanej niechęci do jego tchórzostwa, dało wyczuć się między nimi chemię. Atmosfera wciągała jak diabli i nim się spostrzegłam, dałam porwać się fabule.

Dzięki nowo poznanemu ogierowi, Ray dowiedziała się co się wydarzyło i razem, korzystając z jej odwagi oraz jego zdolności ukrywania się (film zdołał ukazać podstawy cichego zwiadu i sztuczki odwracające uwagę) przedostali się do starożytnej świątyni, w

której kucyki planowały poświęcić swych pobratymców u stóp obelisku symbolizującego mroczne bóstwo kosmitów.

Wywiązała się walka, w trakcie której pchnięty Blast uderzył bokiem w Shining Ray i popychając ją wprost na obelisk. Nieznana siła uniosła astroklacz w powietrze (specjalista od post produkcji musiał spać, gdyż zauważyłam źle zamaskowane sznurki) a obelisk rozświetlił się niewidocznymi dotąd runami obcego, zmyślonego języka. Ku mojemu własnemu zaskoczeniu szybko zapamiętałam ich ciągi.

Ray doświadczała wizji przedstawiających wielkiego, centauropodobnego potwora i zniszczenia, jakie mógł wywołać. Kostium potwora był straszny w złym znaczeniu, gumowy i kiepsko pomalowany, ale same efekty specjalne robiły wrażenie.

Obelisk pękł rozpadając się na tysiące fragmentów, a Ray upadła nieprzytomna na ziemię, w objęcia Blista. Z postumentu, w miejscu monolitu stał ogromny czarny centaur w pełnej krasie swojego kiepskiego kostiumu, ewidentnie grany przez kucyka i siedzącego na nim gryfa. W kinie poniósł się dźwięk przejęcia się widzów: równoczesnego wyciągnięcia przez nich powietrza. Bezwolnie zrobiłam to samo.

Broniąc Ray przed Mrocznym, Blast chwycił w pole swojej pomarańczowej magii pistolet laserowy należący do Ray i zaczął do niego strzelać. Potwór nic sobie z tego nie robił, krocząc w ich stronę powoli i rechocząc. Przypomni mi w ten sposób Guildensterna i od razu uznałam, iż jest to najbardziej znienawidzona fikcyjna postać wszechczasów.

– Sufit, głupi... – Ray wyszeptała broniącemu jej ogierowi.

Dwa strzały potem i na głowę potwora spadły stalaktyty, dwa razy od niego większe. Rozpadł się na tysiące kawałków, zupełnie jak obelisk wcześniej. Wraz z jego śmiercią kucyki-kultysci wydali z siebie krzyk bólu, aby po chwili upaść na kolana i przebudzić się z czaru, jakim były spętane.

Koloniści byli niezwykle wdzięczni i wyprawili Ray i Blastowi pożegnalną ucztę. W czasie ostatniej sceny okazało się, iż Blast Door, odmieniony przez ich spotkanie, postanowił przyłączyć się do Space Rangers, jako kadet pod egidą Shining Ray. Oboje opuścili planetę, jednak zamiast ruszyć po dalsze przygody, Ray obrała kurs na kwaterę główną Rangersów, by ostrzec ich przed wizjami jakie ujrzała przy kontakcie z obeliskiem. Wielki napis "oni powrócą" poprzedzał napisy końcowe, a sala kinowa ponownie rozbłysła w świetle.

Film był niesamowicie wciągający i pomimo, że podobał się mi bardziej niż Frosty'emu oboje byliśmy zadowoleni. Niemal całą drogę powrotną cytowaliśmy co lepsze sceny i dyskutowaliśmy na temat nieścisłości i błędów w filmie, jednocześnie chwalać silne strony zrywające, ze sztampami opowieści, jak chociażby rzadki motyw klaczy uratowanej przez ogiera. Frosty narzekał na małą różnorodność gatunków w filmie, pokazując kolonię złożoną wyłącznie z kucyków, a ja chwaliłam jak realistyczne wydawało się uzbrojenie i technologia ukazana w filmie, nie przypominająca nowoczesnych laboratoriów, a bardziej warsztaty Stajni.

Gdy doszliśmy do mojego domu, stanęliśmy na schodkach prowadzących do drzwi. Oświetlony latarniami port i zaporą w murze pięknie migotały w półmroku Stalliongradzkiej nocy.

– Dziękuję ci za wspaniały wieczór, Frosty – powiedziałam, trącając go kopytkiem. - od dawna się tak dobrze nie bawiłam.

– Nie ma sprawy. Jutro czeka nas ciężki dzień – uśmiechnął się i trącił mnie wzajemnie szponem. – Upewnij się, że dobrze się wypiszesz, najlepiej w dzień. Zjedz dobry obiad, przyda Ci się energia.

– Dziękuję ci za to, że pomagasz – przytuliłam go pod drzwiami.

Długi czas nic nie mówił, ale również mnie przytulił. Jego serce biło mocno i głośno, gdy tak trwaliśmy w uścisku. Wreszcie oddzielił się od siebie i spojrzał mi w oczy z nieodgadnionymi myślami.

– Śpij dobrze. Znajdę cię wieczorem – powiedział wreszcie, nieco speszony i wzbił się w górę, zostawiając mnie samą sobie z zagadką, co oznaczał jego wzrok.

* * * * *

Spałam do późna. Wszystko wydawało się jednym, wielkim snem, gdy obudziła mnie Veil. Była zapłakana, ale widziałam, że dzielnie z tym walczy.

– Spóźnia mi się... – powiedziała w końcu, wybuchając płaczem.

Wszystko było jak jakiś koszmar. Nierealne. Szok płynący z jej wyznania mną wstrząsnął i wybudził kompletnie. W pierwszej chwili chciałam ją przytulić i powiedzieć, że to cudownie... I wtedy przypomniałam sobie wszystko czego doświadczyła, co ją spotkało.

Nie rozumiałam, jak mógł działać świat gdzie zbrodnia, jaką jej uczynili mogła dać życie jakiejś istotce. Moje niespełnione macierzyństwo toczyło w mej głowie batalię przeciwko okropnościom rzeczywistości i płaczącej przede mną klaczy.

Wyciągnęłam do niej kopytka, a ona wpadła w moje objęcia, szlochając głośno.

- To może być cokolwiek, Veil. Mi się spóźniał bardzo długo jak nas wyrzucili ze Stajni i przed tym też - próbowałam dać jej jakąkolwiek nadzieję, nawet ulotną. Nawet nie kłamałam przecież. Przed wygnaniem byłam pewna, że jestem w ciąży, bo okres spóźniał mi się już bardzo długo.

– Ale już tydzień! – zachnęła się.

– To wciąż może być coś innego – głaskałam jej grzywę. – Musisz iść do Killerdose'a. On ci powie. Na pewno.

– Ale... Ale co jeżeli to to...?

– Coś poradzimy. Nie jesteś sama – przytuliłam ją mocniej. Już miałam jej powiedzieć, że jeśli nawet, to pomogę jej podnieść nieco ciężaru dziecka z jej grzbietu, ale wtedy rozległo się pukanie w okno.

Po chwili okno otwarło się a w jego framudze stanął Frosty w pełnym rynsztunku. Do pomieszczenia wpadł chłód późnego wieczoru i sprawił, że obie zadrżałyśmy.

– Sparkplug... Już czas iść – powiedział poważnie Frosty, patrząc badawczo na tulącą się do mnie Veil.

Ta otarła łzy i wyszła na chwilę, aby przynieść nam trzy kombinezony i dwie saszetki z lekami, jakie zdobyła w klinice Killerdose'a.

– Obiecuję, że jak wrócimy, pomogę ci jak tylko będę mogła - powiedziałam jej, tuląc ją jeszcze raz na odchodnym, po czym ruszyliśmy.

* * * * *

Pierwsze kroki na drodze do uwolnienia Coldbrew były najtrudniejsze. Zanim wyruszyliśmy do tunelu, prowadzącego do Nightgown, musieliśmy zahaczyć o Manyego i zabrać od niego ekwipunek na drogę. Spotkał się z nami na trasie swojego patrolu, wzdłuż siatki odgradzającej bazę wojskową RNP od niepożądanych kucyków.

Gdy byliśmy poza zasięgiem wież strażniczych i ich reflektorów, Many przerzucił ponad siatką dwa, ukryte wcześniej w krzakach, duże pakunki. Złapaliśmy je i założyliśmy na plecy.

– Pozdrowienia od chłopaków. Każdy z oddziału się zrzucił – powiedział na odchodnym i wrócił do patrolu, jak gdyby nigdy nic. – Powodzenia.

Podziękowaliśmy cichymi skinieniami głów i ruszyliśmy w stronę tunelu do Night Gown.

Wejście do tunelu nie było większym problemem, jednak podróż na nogach zajęła nam dobrą godzinę. Rozmawialiśmy cicho na temat naszych dalszych celów, a także na temat tego ile właściwie osób wiedziało o naszym przedsięwzięciu. Oddział Frostyego i Manyego ponoć składał się w większości osób takich jak oni, niepasujących, sprawiających kłopoty lub o kryminalnej przeszłości. Zważywszy na to, że każdy z nich chciał wspomóc Frosty'ego w naszym zadaniu, mogłam domyślić się, że wszyscy są przyjaciółmi Frostyego.

Gdy zbliżyliśmy się do punktu wyjściowego z budką strażniczą, przebraliśmy się w kombinezony środowiskowe z dala od oczu strażników. W oknie, za szybą, siedziała oparta o biurko Peach Ball, wyraźnie znudzona. Obok niej siedział na swoim stołku czarny ogier o zjadliwie różowej grzywie. Kojarzyłam go z mojej pierwszej wizyty w kwaterze głównej RNP.

Peach szybko nas dostrzegła i po chwili zagadała do ucha ogiera. Sądząc po ożywieniu, jakie sobą reprezentował, musiała powiedzieć mu coś... Zarumieniłam się sama na tę myśl. Ogier zareagował jednak nieco niespodziewanie.

Podniósł się z fotela i krzyknął na nią w złości i zakłopotaniu. Rozpoczął tyradę, która sprawiła, że nie spodziewająca się odmowy mutantka odsunęła się, aż pod ścianę z położonymi po sobie uszami. Gdy skończył i odwrócił się, święcie oburzony by wyjść do toalety, Peach wepchnęła go do środka i zatrasnęła za nim drzwi, blokując je krzesłem.

Przy akompaniamencie przekleństw i krzyków o uwolnienie, otworzyła dla nas służę.

– Szybko! – zaśmiała się perłście. – potrzynam go tam ile mogę! Dupek od dawna się prosił!

Drzwi załomotały z większą siłą. Nie czekaliśmy, tylko szybko przecisnęliśmy się przez służę dekontaminacyjną od drugich drzwi, z których biło zimno, zwiastując nasze przyszłe odczucia. Musieliśmy szybko opuścić Nightgown, jeśli mieliśmy zdjąć kombinezony

i założyć na siebie ciepłe ubrania. Miotacze ognia Frosty'ego wisiały ciężko u jego boku gdy przecisnął się ze mną na zewnątrz.

– Powodzenia! – krzyknęła rozbawiona Peach i zamknęła za nami służę.

Byliśmy na zewnątrz.

* * * * *

Szybko ruszyliśmy przed siebie, aby wmieszać się nieco w tłum spacerujących ghuli i pozwolić zielonej łunie ukryć nasze skafandry. Nie chcielibyśmy by odnaleźli nas żołnierze, zanim opuścimy miasteczko. Ponury gmach elektrowni zdawał się rzucać na nas nieprzychylny cień, jak gdyby nie podobało mu się, że nietknięte promieniowaniem istoty zakłócają być jego miasta.

Na przedmieścia prowadziła główna droga i parę jej odnóg, ale prawda była taka, że w którąkolwiek stronę byśmy się nie udali, pod warunkiem, że w przeciwną niż do reaktora, wyszlibyśmy za miasto. Taki też obraliśmy kierunek.

Radometr brzęczał irytująco, a mijane ghule patrzyły na nas to z zazdrością, to z irytacją. Nie byliśmy tu tymi samymi, mile widzianymi gośćmi, kiedy oprowadzała nas po okolicy Song Bird. Więcej niż raz grożono nam uniesionym kopytem, a i raz ktoś rzucił za nami jakimś śmieciem.

– Nie zwracaj na nich uwagi! Musimy się stąd wydostać! Nie mogę latać w skafandrze – faktycznie. Skafander, jaki nosił, nie był przystosowany dla gryfów, tak jak ten, w który był ubrany gdy byliśmy tu służbowo, a był kiepsko dopasowanym, przeznaczonym dla kucyków ziemskich. Nie miał w nim miejsca na swoje skrzydła i musiał trzymać je złożone, przy bokach. Nawet jego bieg był nieco chybliwy, bo by nie przebić szponami przednich rękawów musiał trzymać je zaciśnięte w pięści. Obiecałam sobie, że jakoś wynagrodzę mu jego trudy po powrocie.

Obrzeża miasta nie były bronione, brakowało im czegokolwiek na wzór wielkich murów Stalliongradu. Nightgown należało do ghuli i tworzyło dla nich idealne środowisko. Wszystko inne w nim umierało, czego ponurym świadectwem były огоłocone szkielety i mniej lub bardziej świeże zwłoki, znajdujące się w martwej strefie tuż za jego obrębem.

Zielona łuna towarzyszyła nam jeszcze przez dobre dziesięć minut galopu poza miastem i dopiero chwilę potem mój radometr uspokoił się i wyciszył swoje klikanie. Stanęliśmy w głębokim po kolana śniegu, chłostani lodowatym wiatrem, który swym dotykiem przypominał mi uderzenia szponów Guildensterna. Wzbierała śniegowa zawierucha.

Przemarznięci, zdjęliśmy nasze kombinezony i szybko ubraliśmy się w ciepłe kurtki z kapturami i obwiązaliśmy nasze szyje szalami. Czułam się o wiele pewniej gdy mogłam przypiąć do piersi napierśnik od munduru oficera Paina. Był ze mną odkąd opuściliśmy Trottingham i tak jak wcześniej mundur Raspberry Heaven, dodawał mi siły i pewności siebie.

Zastanawiałam się, czy właśnie to poczucie potęgi i przeświadczenie o swojej słuszności codziennie przywdziewali na siebie policjanci i żołnierze Equestrii. *‘Czy Służba Ochrony Stajni miała to samo? Czy tak czuł się Askari gdy nas przesłuchiwał?’*

Z przemyśleń wyrwał mnie klekot dzioba. Frosty rozprostował skrzydła i zadrżał na wietrze.

– Określ za pomocą twojej automapy gdzie mamy południowy-wschód, Sparks – wskazał szponem na mojego PipColta. – Według zwiadu, obóz powinien być pięć godzin stąd. Przy dobrych warunkach, a mamy złe.

Drżąc, wysunęłam przed siebie lewe kopytko i mogliśmy razem wyznaczyć naszą trasę. Sprawdziliśmy nasze obecne położenie i porównaliśmy je z bramą Stalliongradzką, którą wjechałam prawie miesiąc temu do miasta-fortecy. Frosty pomógł mi określić, w którą stronę powinniśmy się skierować i w jakim miejscu powinien być obóz Przypływu. Gdy tylko postawiłam na elektronicznej mapie znacznik, kompas mojego EFS zaznaczył wskaźnik. Z uśmiechem wyznaczyłam nasz kierunek i ruszyliśmy przed siebie.

* * * * *

Zapadła ciemna noc i tylko latarka Frosty'ego i mój PipColt oświetlały nam drogę. Zaspy utrudniały poruszanie się, a chłoszczący nas po pyszczkach wiatr odbierał nadzieję i siły. Nierówny teren sprawiał, że połączenie terenu wydawały się wzburzone, niczym rzeka w Dark Water tylko na o wiele większą skalę. Światłem nadziei w otaczającym nas mroku bezkسیężycowej nocy i zamieci były bliźniacze łuny, jakie rzucały sobą Stalliongrad i Nightgown: Żółta i Zielona. Pomimo mojego kompasu, spojrzenie na nie pomagało mi określić swoją pozycję na świecie i przypomnieć mi, że nie jestem sama, że obok mnie jest mój przyjaciel, a tam czeka na nas ciepła, bezpieczna przystań.

Nie miałam pojęcia ile czasu zabrała nam ta męcząca podróż przez mrok i biel, ale w końcu zamieć na chwilę ustała i zapadła wokół nas cisza. Ze zmęczenia usiadłam w śniegu i oddychałam ciężko. Oczy same zamykały mi się z wycieńczenia.

– Sparkplug! – Frosty szybko do mnie przyskoczył i spojrzał mi w oczy. – Nie możemy się zatrzymywać na tym śniegu, bo zamarzniemy!

– Chcę tylko chwilę odsapnąć... - wydyszałam, odchylając mój szalik, przemarznięty od skryształizowanego na nim oddechu. Popatrzyłam w niebo. – Wreszcie nie wieje...

– Musimy poszukać schronienia. Też już mam mało sił. Jak znajdziemy jakieś zasłonięte miejsce to rozbijemy namiot i...

Przerwałam mu, wskazując kopytkiem na niebo. Podążył wzrokiem za nim i sam usiadł z wrażenia obok mnie.

Nad nami roztaczała się zielono-granatowa luna, zupełnie inna niż te nad miastami. Biały pas tworzył grzbiet falującej rzeki światła, która unosiła się nad nami.

– Frosty... Co to jest? – wyszeptałam, mimowolnie opierając głowę o jego ramię. Chciało mi się tak spać. – To jest... takie piękne...

– To Warkocz Luny – odpowiedział w zadumie. – Widziałem go tylko parę razy, ale nigdy nade mną... W radiu edukacyjnym mówili, że to jakieś rzeczy kiedy w zimie uderzy je promieniowanie, to powstaje właśnie Warkocz.

– Warkocz Luny... – powtórzyłam po nim. Nazwa była bardzo poetycka i wiem do czego się odnosiła. Księgi i nagrania w Stajni ukazywały niesamowite włosy Księżniczki Nocy i Warkocz był bardzo dobrym skojarzeniem.

Frosty nagle poderwał się na równe nogi i zaniepokojony pociągnął mnie za kopytko naprzód.

– Wstajemy! Raz dwa! – krzyczał i popychał mnie naprzód, gdzie w oddali zauważyłam nowe światło. Czerwono-żółtą lunę rzucaną przez obóz Przyływu w oddali. – Szybciej! Ruszaj się! Pójdiesz spać dopiero jak rozbijemy namiot!

W mig załapałam, o co mu chodziło i dałam z siebie wszystko, aby móc się podnieść i otrząść z letargu. Szybko udało nam się zejść na niższy teren, gdzie szybko zaczęliśmy rozstawiać namiot o dosyć silnym szkielecie i grubym płótnie. Frosty tuż po tym zaczął okładać go też warstwą śniegu. Tłumaczył to maskowaniem, a także dodatkową izolacją, jaką miał zapewnić. Zaufałam mu na słowo i po chwili posiadaliśmy świetnie zamaskowany namiot.

W środku rozłożyliśmy szybko nasze śpiwory, bez wahania łącząc je razem dla zachowania ciepła w czasie snu, a następnie ułożyliśmy miejsce na ognisko. Opał był cięższym zadaniem, ale ostatecznie udało nam się znaleźć stary konar, który wystarczył za dobre źródło opału. Miotacz ognia Frosty'ego był bardzo dobrym narzędziem do rozpałki.

Zjedliśmy po suchej racji i wpełzliśmy razem do śpiwora, ciesząc się ciepłem. Mój hipogryfi przyjaciel był bardzo ciepły, pomimo że drżał równie mocno, co ja. Teraz, gdy nie groziło nam zamarznięcie, mogliśmy spokojnie odsapnąć i zwyczajnie porozmawiać, choć zmęczenie obierało wszelkie słowa ze znaczenia.

Usnęłam wtulona w mojego przyjaciela. Jego obecność odpędziła złe mary, które prawdopodobnie czały się wśród śniegu.

* * * * *

Dzień był o wiele przyjemniejszą porą do podróży przez zaspę. Słońce dawało nam nieco więcej swojego dobroczynnego ciepła i widoczność była o wiele lepsza. Nasze białe-błękitne ubrania, świetnie maskowały nas na śniegu, więc byliśmy raczej spokojni o bycie wykrytym przez zwiad Psów. Śnieżenie rozpoczęło się na nowo, ale nie było ono nawet w połowie tak silne i bolesne jak to nocne oraz nie spowalniało nas zbyt. Mając też przed nami widok na obóz, nie musieliśmy już przejmować się śledzeniem mojego EFS i igły kompasu.

Dotarliśmy w końcu do naszej ostatniej granicy: zamarzniętej rzeki, gdzie na drugim brzegu mogliśmy już dość szybko dostać się do obozu. Brzeg nie miał, aż tak wiele śniegu jak teren wcześniej, ale lód wydawał mi się czymś zupełnie obcym. Ciekawiło mnie, czy tak samo o tej porze roku wygląda Dark Water.

Frosty rozpostarł swoje błękitne skrzydła i zatrzepotał nimi dwa razy. Szybko podał mi linkę, którą zaczepił mocno o swoje juki.

– Pociągnę cię po lodzie Sparks.

– Dlaczego tak? Nie możemy iść oboje?

– Nie ufam grubości tego lodu. Może nie wytrzymać nacisku nas obojga, a wolę być blisko ciebie w razie czego. Poza tym, tak będzie szybciej. Będę leciał nisko, aby przypadkiem nie zauważyły nas czujki.

– Tak samo liczysz na naszą drogę powrotną?

– Pewno! – napuszył się. – Pociągnę was oboje po lodzie, jak w kuligu.

Staął plecami do mnie i rozłożył skrzydła wzdłuż ziemi. Coś go jednak powstrzymało, a jego grzbiet nieco opadł i schylił głowę.

– Sparkplug... Jeśli...

– Jeśli? – spytałam go z troską. Wyraźnie zadrżał.

– Będzie tam niebezpiecznie. Będziemy musieli się zakraść do obozu. Jeśli bym nie przeżył...

Podeszłam do niego i położyłam mu kopytko na boku. Spojrzał na mnie nieco niepewnie, na wpół otwartym dziobem, jak gdyby chciał coś powiedzieć. Po chwili go zamknął, i pokręcił głową.

– ...to będziecie musieli wrócić po lodzie sami, beze mnie – odpowiedział po chwili, już pewniej. – Pamiętajcie, żeby się zamaskować na biało. Kiedy stąpa się po lodzie, trzeba rozłożyć swój ciężar na jak największą powierzchnię. Tafla jest jak szkło, naciśniesz za mocno w jednym punkcie i pęknie, a pod spodem masz lodowaty grób. Będiesz pamiętać?

– Będę. Ale nie myśl w ten sposób. Przetrwamy to i wrócimy razem – przytuliłam go mocno. Ten odwrócił głowę, nieco speszony i zarumieniony. Uśmiechnęłam się na to. *‘Więc jednak masz tę czułą stronę.’*

Kazał mi się przygotować, położyć się na jednym z naszych koców, machnął mocno skrzydłami i wzbił się w powietrze. Szybko wykonał pętlę i rozpędzając się w ten sposób poszybował nisko nad lodem, ciągnąc mnie za sobą.

Pierwsze szarpnięcie było najgorsze, jednak szybko dostosowałam się do ciągu. Frosty leciał szybko i nie musiał często korygować swojego kierunku, kierując się nieco dalej od obozu. Musiałam przyznać, że podróż z tak dużą prędkością po nie stawiającym oporu, śliskim lodzie była nawet przyjemna i wywoływała dreszczyk emocji. Czarna smuga dymu unosząca się nad obozem zbliżała się jednak, a wraz z nią moje rychłe spotkanie z Coldbrew i to było tym, co najbardziej zaprzętało moje myśli.

‘Idę po ciebie.’

* * * * *

Skradaliśmy się po zboczu wzgórza, osłaniającym od drugiej strony tory kolejowe. Psy używały torów do szybkiego transportu żołnierzy i zapasów do swojego obozu. Udało nam się wcześniej podejść pod główną bramę obozu, jednak nawet przy użyciu Stealthbucków nie udałooby nam się normalnie tam prześlizgnąć. Pociąg z cysterną stał w kolejce za drugim korkiem kontenerów i wagonów. Nasze płaszcze maskowały nas przed wzrokiem strażników usytuowanych przy bramie starego terminusu kolejowego,

stanowiącego dużą część obozu, a silny wiatr ze śniegiem ukrywał nasz zapach przed czułymi nosami, krzątających się między wagonami, psów.

Frosty westchnął ciężko i przedyskutował ze mną plan działania. Dostałam pistolet sygnałowy, aby móc go przywołać w razie potrzeby, ale uznał, że musimy się rozdzielić. Planował wywołać dywersję, która odwróci uwagę obozu, a ja miałam użyć Stealthbucka i zakraść się do środka, osłonięta od czujności i węchu Psów przez zamieszanie. Nie pozwolił mi protestować, zamykając mój pyszczek szponem. *'Nie cierpię tych jego palców.'* Podał mi też jakiś futerał.

– To aparat fotograficzny. Wiesz jak z nich korzystać?

Przytaknęłam cicho.

– Jeśli tylko zdołasz, rób zdjęcia w ich obozie. Jak najwięcej, masz kliszy na sześćdziesiąt zdjęć. Jak wrócimy to może w ten sposób wyciągniemy z tarapatów i mnie i Peach Ball. Wiesz...

– ...Łatwiej prosić o wybaczenie niż o pozwolenie... – powiedzieliśmy razem. Uśmiechnęłam się do niego ciepło. – Jesteś najlepszy.

Przygotowałam Stealthbucka, wciąż niepewna, jak ma zamiar wywołać zamieszanie i przytaknęłam mu. On na to złączył nasze czoła na tyle na ile pozwolił mu mój róg i nacisnął na Stealthbucku przycisk włącznika. Urządzenie zaiskrzyło i po chwili moje ciało stało się przezroczyste. Tylko mój EFS pozwalał mi jeszcze widzieć gdzie znajduje się ekran mojego PipColta.

Wyszeptał coś, czego nie zrozumiałam i wyskoczył znad wzgórza. Podążyłam za nim wzrokiem i dostrzegłam już co chciał osiągnąć: podbiegł do cysterny, wywołując krzyk ostrzeżeń od strażników. Na początku nie było strzałów, tylko krzyki. Frosty podpalił jednego z psów strugą ze swojego miotacza i śmiejąc się szaleńczo wykrzykiwał przekleństwa na swoich wrogów. Rozpoczęło się zamieszanie, w czasie którego psy zaczęły zbliżać się do cysterny. Widziałam jak strażnicy opuszczają bramę unosząc do oczu karabiny w przednich łapach. Musiałam ruszać, ale chciałam się upewnić co z Frostym. Widziałam jak otworzył zawór cysterny, uwalniając strumień paliwa oblewający tory po naszej stronie, a po chwili chwycił jakieś wiadro z przezroczystym płynem, które na siebie wylał. Jego wzrok podążył do mojej pozycji i dał mi do zrozumienia, że mam się ruszać.

Gdy byłam już w bramie, gotowa przebiec obok dwóch strażników, którzy mnie nie zauważyli, coś w nas uderzyło i obaliło nas na ziemię. Świat spowiły płomienie i zabarwiły go na czerwono. Poczułam, jak przypiekły mój grzbiet i jak przeszła po mnie fala gorąca. Huk towarzyszący eksplozji cysterny ogłuszył mnie na dobrych parę chwil i słyszałam w uszach tylko dzwonienie. Obejrzałam się na wagon, ale nic już tam nie było poza kraterem i szalejącą burzą ognia. *'Nie... Nie, nie, nie, nie nie!'*

W panice uciekłam w głąb obozu. Nie wierzyłam, że Frosty mógł się tak po prostu poświęcić. To było zbyt nierealne, nielogiczne. Mój umysł szybko wyparł się tej okropnej myśli. Frosty kazał mi się ruszać i musiałam działać, inaczej, czy poświęcił się, czy nie, zawiodłabym go, a na to nie mogłam sobie na to pozwolić.

Biegłam tak długo, jak tylko pozwalały mi na to moje zmęczone nogi. Zatrzymałam się pod jakąś chatką, skleconą z drewna i blachy, aby złapać oddech i wtedy właśnie wysiadł mój Stealthbuck. Szybko go sprawdziłam i okazało się, że doznał jakiejś usterki, prawdopodobnie od tego całego zimna, bo jego wskaźnik energii był wciąż w połowie pełny.

Próbowałam go wyłączyć i włączyć przez podszepty mojego instynktu, ale to nie pomagało, raz tylko zabłysnął, by zaraz zgasnąć.

– Hej! Ty, Kucyk!

Zamarłam na głos psa, który wskazał na mnie palcem. Wyszedł zza chaty, ubrany tylko w grubą kurtkę. Był ode mnie, co najmniej, dwa razy większy. Sparaliżował mnie strach gdy rozważałam, czy dalej próbować uruchomić Stealthbucka, uciekać, czy zacząć strzelać.

– Ataman kazała się wam stawić w tunelu! – wyszczekał. Zamarłam kładąc po sobie uszy.

– Słucham?

– Masz ten komputer na łapie, nie? – Pies podszedł do mnie i pociągnął mnie za kopyto z PipColtem. Dopiero teraz zrozumiałam, że nie odnosił się do mnie wrogo, tylko był zdenerwowany. *‘Nic dziwnego, w końcu Frosty wysadził **cysternę**.’* – Ataman powiedziała, że kuce z "tymi" mają się udać do tunelu i się tam ukryć!

Mój umysł działał szybko i kojarzył fakty. Skoro kucyki "z komputerami" miały być w tym tunelu, to tam też miał się udać Coldbrew.

– A tak... Ja.. Eee... Zgubiłam się... – wyjąkałam, wciąż nieco wystraszona jego nagłym pojawieniem się. *Jak coś tak dużego mogło poruszać się tak cicho?* – Pokażesz mi, w którą stronę?

Pies westchnął i ujadając coś cicho pod nosem wskazał swoją ogromną łapą wzdłuż głównej uliczki, usianej drewnianymi i metalowymi chatami.

– Pójdiesz tą ulicą i jak dotrzesz do stołówki to w lewo. Tam zobaczysz kamienny budynek z napisem "Metro". Idź tam, bo Ataman będzie zła. Zrozumiano?

Nieco irytowało mnie, że mówił do mnie jak do dziecka, ale jego głosowi brakowało srogości. Chyba przywykł już do kucyków w obozie, bo faktycznie, widziałam ich wiele, część nawet uzbrojonych i z czerwonymi elementami ubioru, odciskającymi się na tle bieli i błękitu zimowego obozu.

– Dziękuję! Już biegnę!

– Tylko uważaj na siebie! Nie wiemy czy nie przeniknęli do środka i mogą ci zrobić krzywdę! – krzyknął za mną. Dziwnie się czułam, kiedy był dla mnie tak miły. Opowieść Frosty'ego o ich dezterach wróciła do mej świadomości. Postanowiłam nie krzywdzić żadnego z nich, który mi bezpośrednio nie zagrozi. Nie powstrzymało mnie to jednak od robienia ukradkowych zdjęć aparatem, ukrytym w moim płaszczu. Na szczęście sprzęt nie miał flesza.

* * * * *

Wejście do budynku metra było pilnowane przez dużego psa i kucyka ubranego w czerwoną koszulę. Ta część obozu zdawała się niewzruszona potencjalnym atakiem, jaki przypuścił Frosty i dalej żyła swoim życiem. Czasami widziałam psy i kucyki biegnące w stronę, z której wciąż świeciła żółta łuna płonącej cysterny. Z tego, co udało mi się usłyszeć, Przyptyw uznał to za wypadek, a nie za sabotaż. Przepuścili mnie bez większego gadania gdy tylko zobaczyli na moim kopytku PipColta. Klaczka nawet nazwała mnie "jakąś nową" i przypomniała, że jak będę na dole, to mam iść w prawo, bo mają już dość szukania tych, co poszli w złą stronę tunelu. Wychodziło na to, że póki co miałam więcej szczęścia niż kiedykolwiek.

Stacja metra była oświetlona przez koksowniki i było w niej o wiele cieplej niż na zewnątrz. Stali tu kolejni wartownicy tym razem same psy i węszyły gdy się zbliżyłam. Ich niesamowity węch sprawiał, że drżałam na myśl, że mogą rozpoznać we mnie intruza, ale widok mojego PipColta zdawał się uspakajać każdego napotkanego psa, choćby miał wobec mnie niewiadomo jakie podejrzenia. Widać Przyptyw naprawdę mocno potrzebował kucyków ze stajni. Moja automapa powiadomiła mnie, że wkroczyłam do stacji metra w Steelgate.

Gdy byłam już wewnątrz tunelu musiałam przejść bardzo długi odcinek torowiska, w którym nie było oświetlenia, a jedynie pochodnia zatknięta w ziemi co jakiś czas rozdzierała mrok. Co jakiś czas mijałam dziwną pręgę w tunelu, jakby próg wielkich drzwi, przez które przebiegały szczeliny na tory dla pociągów. W ścianach i suficie faktycznie mogły kryć się grodzie, jednak nie miałam pojęcia czemu miały służyć.

Jednak w pewnym momencie, według mapy globalnej, znalazłam się w połowie drogi pod zamarznąłą rzeką i w świetle PipColta mogłam odczytać napis na ścianie:

Steelgate – Stalliongrad

Tunel 6

Gródz retencyjna 14

Zrobiłam zdjęcie i ruszyłam dalej.

Moja dalsza podróż trwała prawie godzinę, ale z racji w miarę prostego terenu, była o wiele mniej męcząca, niż podróż przez śnieg. Było tutaj w miarę ciepło i nie wiało. Świetne warunki do szybkiej, nie męczącej podróży.

Dotarłam do kresu drogi. Słyszałam psy i kucyki. Skryta w ciemności postanowiłam uruchomić ponownie swojego Stealthbucka i zakraść się do małej placówki, założonej na dole.

Grupa kucyków rozmawiała przy wielkiej, dobrze oświetlonej ścianie oznaczonej jako gródz retencyjna 28. Aby móc się im lepiej przyjrzeć użyłam swojego zaklęcia chodzenia po ścianach i wspierałam się na jedną z półek technicznych przy suficie tunelu. Schowałam się za stojącymi tu beczkami i spojrzałam w dół.

Kucykom towarzyszyły cztery uzbrojone psy i wilk w czarnym mundurze o czerwonej szarfie.

- Użyj SATS!

Rozległy się strzały dwóch pistoletów i karabinu, a Tajemnicza Klacz szybko zniknęła za linią klifu.

Usiadłam obok wilka i zaczęłam szturchać go kopytkami. Może wcale nie umarł i da się mu pomóc? Niestety, nie reagował, a dziura w jego czole i trzy w jego boku krwawiły.

Orzepałam się ze stuporu. *‘Śmierć zmienia wszystko. Tylko życie przeciwstawi się śmierci.’* Musiałam być silna!

– Ataman się niecierpliwi! Ile jeszcze zajmie wam przedostanie się do miasta?! – wywarczał zezłoszczony wilk. – Tak liczne wojsko nie może stacjonować w obozie tak długo! Nie w zimę!

– Ataman Wildblood doskonale wie, że to wymaga czasu! – usłyszałam znajomy głos. Wychyliłam się zza beczek, wciąż pod osłoną welonu niewidzialności.

Przed wilkiem stał Coldbrew! Rozpościerał skrzydła w irytacji. Jego zwichnięte skrzydło było już zdrowe! Mój ukochany stawiał się do stojącego na dwóch łapach wilka, większego od niego dwa razy. Jeden z psów zawarczał ostrzegawczo, ale wilk tylko go uciszył. Ja wykorzystałam to, aby zrobić zdjęcie kucykom oraz oświetlonej grodzi.

– To żadna wymówka! Obiecaliście, że na Nowy Rok dotrzecie do miasta! Czas się kończy, a my wciąż tam nie jesteśmy! – był wyraźnie zdenerwowany.

– Składamy raporty codziennie! – prychnął do niego mój pegaz. Do Stalliongradu są jeszcze trzy grodzie! Jeżeli nie zdążymy do nowego roku, to dotrzemy tam dzień, dwa później! Ataman dobrze to wie! Jeżeli masz zamiar wysforować się przed nią w szereg i nas popędzać, dowie się o tym!

– Odkąd cię tu przywieźli same z tobą problemy! – warknął i obnażył kły. – Ataman powinna cię powiesić!

Sierść na karku wilka zjeżyła się niczym pod prądem, a psy wycelowały swoje karabiny w Coldbrew. Ten złożył skrzydła i odwrócił się do nich bokiem. Wiedziałam, że przesadził i już miałam rzucić mu się do pomocy, kiedy usłyszałam stukot kopyt i czegoś metalowego, jakby podków a powietrze przeszył wysoki, władczy głos:

– Khorunzy *Akaj!* – na te dwa słowa wszyscy odwrócili głowy w stronę tunelu.

W krąg światła wszedł szpaler osób. Najpierw weszła klacz kucyka o szarej maści i białej grzywie oraz o żółtych oczach. Biała grzywa przykrywała jedno oko, bardzo podobnie jak u White Veil. Miała na sobie czarny mundur z czerwoną, naszywaną złotymi wzorami szarfą, ewidentnie uszyty na wilczą modłę, ale na jej rozmiar. Była dużym kucykiem ziemskim, ale posiadała typowo wilczą postawę i była równie smukła. Źródłem metalicznego łoskotu były metalowe szpony przyłączone do jej przednich kopyt, udające wilcze łapy. Były ostre i lśniły w blasku koksowników. Skierowałam na nią aparat, aby ją sfotografować, ale moja krew niemal zamarzła w chwilę potem.

Z mroku za nią wyłoniła się większa od niej dwa razy postać. Złote sierpy lewego szpona załśniły jadowicie, a jego lewa żrenica zapłonęła w ciemności. Guildenstern stał za nią dumny, nie wzruszony tym, że wycelowano w niego karabiny. Skuliłam się w sobie, odruchowo naciskając spust aparatu. Zaczęłam się pocić a moje oczy nabiegły łzami. Blizny na moich tylnych nogach i grzbiecie zapłonęły bólem, jak gdyby ktoś je właśnie ciął pazurami. Nie rozumiałam co się ze mną działo. Drżałam i tylko przez stupor w jaki wpadłam, mogłam obserwować dalej całe zajście.

– Opuścić broń *sabaki*! – krzyknęła klaczka-wilk, gdy za nią i cybergryfem z mroku wyłoniła się jej eskorta. Towarzyszące jej psy były inne, większe od tych potężnych psów-wartowników, uzbrojone w lśniąca broń i ubrane w polowe mundury szarego koloru. Brakowało im czerwonych szarf, czy akcentów i nosiły na głowach szyszaki nadające im łbom typowe, wilcze kształty. Ich sierść była stojąca i ostra, ale rozczochrana i niechlujna, nie jak u wilków, a ich nosy były okrągłejsze niż u ich wilczych braci. Miały długie, puchate ogony, ale każdy z nich wyglądał inaczej. Jak gdyby ktoś próbował przebierać wilki za psy.

Psy opuściły broń zgodnie z rozkazem, a wilk zwany Akajem patrzył na nowoprzybyłych z wyraźnym niepokojem.

– A... Ataman Wildblood! Nie spodziewaliśmy się cię tu dziś spotkać. Przyprowadziłaś gościa?

– Khorunzy Akaj... – Wildblood przeszyła go wzrokiem swoich żółtych oczu. Wilk opuścił swój ogon i położył po sobie uszy. – Odsuwam was od projektu. Jeśli jeszcze raz dowiem się, że naprzykrzałeś się moim technikom, przysięgam, że wysłę cię do Nor.

Wilk zaczął wyraźnie się trząść i aż przysiadł ze strachu, kiedy klaczka podeszła do niego ze stukotem swoich obutych w ostrza kopyt. Warcząc i szczerząc kły złączyła ich czoła i popchnęła go głową tak, że ten skulił się do poziomu o wiele niższego niż jej wzrok.

– Zrozumiano? Jeśli ten projekt nie wypali, suki mojej gwardii bardzo chętnie splugawią twój rodowód. A na pewno i niejeden basior chętnie się połakomi na czystokrwistego wilka! – na te słowa straż przyboczna Ataman wydała z siebie dziwny, gardłowy rechot, a jeden z nich nawet się oblizał. Akaj wyglądał jakby miał zamiar zsikać się ze strachu. – Nie jesteś już w Kręgu. Zajmij się trenowaniem rekrutów. Mają być dobrze wyszkoleni na nowy rok, albo spełnią swoją groźbę i tak!

Wilk przytaknął i ze skowytem zaczął biec w głąb tunelu, skomląc przeprosiny. Na jedno spojrzenie kuczej wilczycy jego żołnierze szybko do niego dołączyli, biegnąc cicho za swoim dowódcą.

– Brawo... Widzę, że łączy nas więcej niż tylko interesy! – Guildenstern zaklekotał swoim dziobem i podszedł bliżej klaczy, w ogóle nie przejmując się warczeniem i spojrzeniami jakie rzucały mu pyski gwardzistów. – Też nie znoszę niekompetencji. Nawet wysoko postawieni w moich eszelonach muszą zostać ukarani.

– Tak... Słyszałam, jak... Obrazowo, ukarałeś swojego adiutanta. Garviel mu było? – odpowiedziała mu chłodno i odwróciła się w stronę milczących kucyków.

– Gdyby nie jego niekompetencja, nie było by mnie tutaj dzisiaj. Gdyby nie twoje psy, tak swoją drogą, to też – uśmiechnął się i podszedł do kucyków. Napuszył się przed nimi, sprawiając, że wszystkie skuliły się w ciszy. Obserwowałam z przerażeniem, nie mogąc

wydusić z siebie nawet słowa. Bałam się, że mnie znajdzie, albo co gorsze, zrobi coś Coldbrew. – Nie ma opcji byś dała mi informacje na temat pobytu Piggy Banka jako gratis?

– Wolałabym byś zostawił jednego z moich najlepszych informatorów w spokoju. I tamte psy nie były moje, pragnęłabym sprecyzować. Znajdowały się pod dowództwem Podyesaula Wargo. Wargo został odwołany do ojczyzny i teraz tamte tereny administruje Vakmihstr Samoied. Nie odpowiadam za brak komunikacji moich podkomendnych ze mną.

Klacz odnosiła się do niego nonszalancko, niemal lekceważąco, ale ten nie wydawał się być tym ani trochę zrażony. Podeszła do kucyków i gestem kopytka nakazała im wstać i ustawić się w szeregu.

– Zapewniam cię, że pragnęłabym ograniczyć moje kontakty z osobami twojego pokroju do minimum, jednak Carewicz nakazał mi z tobą współpracować przy tym projekcie – wskazała kopytkiem na kucyki, posłusznie stojące na baczność. – Czy widzisz tutaj swoją klacz?

Zamarłam. Szukał mnie. Chciał mnie do tego stopnia, że nie bał się negocjować z osobami, które uważał za swoich wrogów. *‘On przecież nienawidzi Przyptywu i Wildblood!’*

Guildenstern chodził wzdłuż szeregu, a kucyki drżały pomimo posłusznego stania na baczność. Jedna z klaczy na widok jego uniesionego szponu wręcz się popłakała, skuliła i tylko na surowe spojrzenie ataman pozbierała się do kupy i wróciła do swojej dawnej pozycji. Gryf skwitował to tylko ponurym chichotem.

Przeszedł wzdłuż rzędu, jednak na koniec pokręcił głową.

– Nie ma jej w twojej trzódce... – odetchnęłam z ulgą, jednak tylko po to, aby potem znów mnie przeraził. Wskazał szponem na Coldbrew i jego kołnierz, gdzie w świetle ognia błyszczał numer naszej stajni. – Ale on jest z tej samej stajni co ona!

Chciałam krzyknąć, ale gardło skurczyło mi się mimowolnie gdy jego metaliczny szpon powędrował do gardła Coldbrew i podniósł go w powietrze. Zastaniałam usta, aby nie krzyknąć, a oczy przesłoniły mi łzy, gdy tylne kopyta mojego ukochanego kopaly powietrze gdy Guildenstern trzymał go w górze.

– Gadaj! Na pewno wiesz, gdzie ją znajdę!

– Guildenstern! Puść go! – zakomenderowała Ataman, ale ten tylko obniżył swoje ramię by mój ukochany mógł stać. Po tym kazała się wstrzymać swoim gwardzistom.

– Gadaj, gdzie mogła się udać?!

– Khhh... Kogo? – dla odmiany, jego skrzydła wystrzeliły w powietrze i próbował się wzbicić do lotu, ale szpon trzymał go twardo w zawieszeniu.

– Brzoskwiniowa sierść, niebieska grzywa, fiołkowe oczy! Sparkplug! Gadaj gdzie jest!

Pociemniało mi w oczach. Zaczęłam szybko wciągać powietrze i ciężko było mi się uspokoić. Moja hiperwentylacja zaczynała znów dawać o sobie znać. *‘Nie! Nie rób mu krzywdy! Błagam!’*

– Nie wiem... – wycharczał pegaz. – Psy złapały mnie dzień po wyjściu ze Stajni... Jej nie złapały...

– Puść go, Guildenstern – głos Wildblood był stalowy i władczy. Nawet cybergryf nie mógł go zignorować. Puścił mojego ukochanego, który przez chwilę jeszcze ciężko oddychał, ale zaraz stanął na baczność. Byłam taka dumna z tego jaki był silny. Uśmiech klaczy na dole zdawał się wskazywać na to, że sama też jest dumna. – Wiesz już co chciałeś wiedzieć?

– Od niego? Jak najbardziej... Skoro ją zna... to prędzej czy później Sparkplug też się tu zjawi. Zaczekam na nią i wymienimy ją, zgodnie z umową jaką obiecał mi Freki.

– Masz go tytułować Carewiczem w mojej obecności, kupo pierza! – pierwszy raz odkąd ją zobaczyłam, Ataman straciła równowagę i okazała w swych oczach furję. Włos jej się zjeżył tak samo jak sierść na karku. Jej gwardziści celowali prosto w głowę cybergryfa. – Zrozumiano?!

– Tak, tak, zrozumiano – gryf tylko westchnął i wzruszył ramionami.

– Wyprowadźcie go stąd i dajcie mu jakąś chatę niedaleko mojej. Pilnujcie go, aby nie sprawiał kłopotów, ale poza tym jest naszym gościem – wywarczała.

Dwóch jej Gwardzistów odłączyło się od reszty i pod bronią odprowadziło Guildensterna w mrok. Wildblood uspokoiła się i podeszła do Coldbrew.

– Zdrowyś?

– Tak jest, Atamanie!

– To dobrze. Wszystkie kuce: spocznij.

Kucyki usiadły, rozluźnione i oddychające ciężko. Przestraszona wcześniej klaczka rozplakała się ponownie, ale przytuliły ją jej dwie koleżanki. Wszystkie kucyki poniżej nosiły na kopytkach swoje PipColty czy też raczej PipBucki, ale tylko mój Coldbrew miał na sobie swój kombinezon z 69tki. Oddychałam już o wiele spokojniej. Wildblood była straszna, ale nie tak jak Guildenstern.

– Zastanawiacie się pewnie, czemu zawdzięczamy wizytę tamtego *gentlemana* – powiedziała już mniej władczo. – Nie mogę wam powiedzieć wszystkich szczegółów, ale obiecał przekierowywać do nas wszystkie kucyki ze Stajni w zamian za tamtą klacz. Coldbrew, czy ją znasz?

– Sparkplug była moją dziewczyną, Atamanie. Nie wiem co się z nią teraz dzieje – odpowiedział, a mnie zakłuło nieco serce z powodu przeszłego tonu jego wypowiedzi. Ale nie mógł wiedzieć, że żyję. – Przeznaczono nas sobie w Stajni 69.

– Rozumiem. Faktycznie, łowcy mówili, że zniknęła gdzieś po tym jak zgubili ją przy Wąwozie Szeptów. Nie wiemy co się z nią stało potem, jakby zapadła się pod ziemię, ale Piggybank wspominał, że może być w Stalliongradzie – potwierdziła jego informacje ze swoimi. Nie wspomniała mu jednak, że wyznaczyła za mnie nagrodę, co było prawdopodobnie główną osią motywów jakie kierowały Piggybankiem.

Coldbrew wydawał się załamany. Rozumiałam jego ból, był zmuszony współpracować z psami i kucykami, które chciały wydać jego ukochaną bezwzględnemu łowcy niewolników. Jego serce musiało być strzępkiem nerwów.

Patrzyłam na niego długo, nawet zrobiłam mu parę zdjęć na maksymalnym zbliżeniu. Był tak blisko a jednocześnie tak daleko. Żal serce ścisnąć.

– Jak idą przygotowania? Jesteśmy na dwudziestce ósemce, to już niedaleko, co nie? – zapytała po chwili, patrząc w górę, na napis na ścianie.

– Tak jest! Jeszcze trzy grodzie i będziemy w mieście! – odpowiedział z dumą Coldbrew. *‘Dziwne.’*

– Czy zdołacie się tam dostać na nowy rok?

– Jest to możliwe, jednak obawiam się, że przy obecnej ilości PipBucków może się to opóźnić. Jak wspominałem ostatnim razem, zabezpieczenia da się złamać, jednak język programowania tych wrót jest bardzo skomplikowany i nawet najnowocześniejszy PipBuck Valiant Heart – wskazał na jakąś załamaną kłaczkę. – wymaga połączonej pamięci pozostałych, aby mógł złamać szyfrowanie. Bardzo pomaga nam mój program deszyfracyjny.

‘Twój program?’ Jego słowa bolały. To był **mój** program i nie chciałam by był wykorzystywany w ten sposób! To było złe! Mogły zginąć przez to tysiące kucyków w Stalliongradzie! *iDo czego oni cię zmuszają, Coldbrew?’*

* * * * *

Ataman wkrótce opuściła kucyki, ale zostawiła strażę, które nie pozwalały mi się zbliżyć do nich. Bałam się, że mój Stealthbuck znów wysiadzie (wyłączyłam go dla oszczędzenia baterii) albo, że olbrzymi gwardziści wyczują mój zapach.

Parę godzin później psy ogłosiły koniec dniówki i zabrały kucyki w drogę powrotną przez tunel. Ruszyłam za nimi, w dużej odległości i w ciemności, stąpając ostrożnie, aby nie wzbudzić nawet jednego dźwięku. Słyszałam głosy kucyków, rozmawiające ze sobą jak gdyby przywykły do tego, co było ich udziałem i jak gdyby już im to nie przeszkadzało.

Do wyjścia z tunelu byłam zmuszona użyć Stealthbucka, by zmylić strażę. Miałam szczęście, bo wszyscy strażnicy-psy zostali teraz wymienieni na swoich kuczych kolegów, nie obdarzonych świetnym węchem. Straciłam niestety ze wzroku kucyki ze Stajni.

Teraz, kiedy okazało się, że w obozie jest Guildenstern i że mnie szuka, wolałam ukrywać swój wygląd pod kapturem i czekałam, aż będę w absolutnej samotności załką zanim wyłączę mojego Stealthbucka. Wisiały tutaj wyprane ubrania i bardzo dużo czerwonych elementów ubioru zdobiło sznurki, a pomiędzy praniem rozstawione były koksowniki dające odpowiednią ilość ciepła, aby je wysuszyć. Nawet rozwieszono plandekę na belkach pomiędzy dwoma chatami by zatrzymać jakoś ciepło i wspomóc suszenie. Porwałam na szybko czerwony szalik i obwiązałam go sobie wokół szyi. Był prawie suchy. Ukryłam swojego Pipcolta pod rękawem kurtki i ruszyłam na poszukiwania Coldbrew.

Bałam się trafić na mojego prześladowcę lub zostać rozpoznana, ale większość psów nie zwracała na mnie większej uwagi, zwłaszcza widząc mój krwiste czerwony szalik. Robiłam ukradkowe zdjęcia, głównie ich straży i miejsc, które uważałam za ważne: szpital polowy, baraki, kuchnię... Zanim zdecydowałam się odnaleźć Coldbrew i przeprowadzić

naszą ucieczkę, chciałam poczekać na zapadnięcie zmroku. Rozpoznanie mojego terenu i określenie drogi ucieczki było równie ważne i musiałam zaplanować.

W pewnej chwili dostałam się w pobliże dużego placu pokrytego udeptanym śniegiem, na środku którego kwitło wielkie ognisko, do którego co jakiś czas dorzucano drewna. Ponad płomieniami wisiały na stalowych prętach kotły, do których system rynien doprowadzał wodę z rzeki. Byłam pod wrażeniem myśli technicznej, jaką dysponował Przyływ. Nie byli prymitywną i barbarzyńską siłą, jaką próbowała ich malować propaganda RNP. Przerazało mnie to w nich tym bardziej.

Z podziwu wytrącił mnie jeden z wielkich psów-gwardzistów, który przeszedł obok mnie, odsuwając mnie z siłą. Oglądając się na niego, zobaczyłam, że za nim szedł mój Coldbrew w towarzystwie płacziwej klaczy z tunelu. Dalej wyglądała na przerażoną.

Ruszyłam dyskretnie za nimi, zwalczając w sobie chęć odezwania się do mojego pegaza. Musiałam się do niego zbliżyć kiedy będzie sam. Serce biło mi niczym młot kowalski, ale udało mi się dojrzeć, do której chaty weszli.

Była po środku, największa i z dwoma szarymi sztandarami wywieszonymi po bokach w podobnym stylu, jak to miało miejsce w kwaterze głównej RNP. Sztandary miały czerwone lamówki, a w ich centrum widniała podobizna białej głowy wilka.

Okreśną drogą dotarłam na tyły chaty, gdzie mogłam ukryć się od głównych dróg w obozie i spróbować zakraść się do środka. Miałam nadzieję, że będę mogła jakoś podsłuchać o czym rozmawiają.

Opatrzność mi sprzyjała, gdyż niedaleko nad tylną ścianą znajdowała się dziura w drewnianej powierzchni będąca wywietrznikiem. Była dość duża, bym mogła się tam przekraść. Włączyłam ponownie mojego Stealthbucka, upewniając się, że mam w nim dość energii i użyłam swojego czaru chodzenia po ścianach. W myślach podziękowałam Sun Beam za jej pomoc.

Wewnątrz, nad ściankami sklejki wyznaczającymi różne pokoje, znajdowały się duże bele podtrzymujące wysoko sklepiony sufit. Belki same w sobie były umieszczone dość wysoko i były dość szerokie bym mogła się na nich przesuwac bez używania mojego zaklęcia. Ruszyłam po nich w stronę centrum chaty i usłyszałam głosy.

Po środku dużego pomieszczenia, wyłożonego drewnem i wyprawionymi futrami zwierząt, znajdował się wielki, okrągły stół, na którym ktoś rozłożył olbrzymią mapę Equestrii oznaczoną nieznanymi mi literami. Rozpoznawałam jednak niektóre kształty i widziałam, że fragment zajmujący prawie cały blat wyszczególniał całe okolice wokół Stalliongradu. Miasto zostało oznaczone na mapie stojącą czarną butelką, obok niego stała inna, ze świecącą na pomarańczowo substancją. *'Nightgown.'* Drewniane klocki leżące przy brzegu rzeki musiały symbolizować obóz Przyływu, nie mogłam zrozumieć za to, czym na mapie były postawione kapsle. Parę z nich było ustawionych w obrzeżach obozu, około cztery leżały w zetknięciu z dużą butelką, a jeden znajdował się w równej odległości od świecącej butelczyny. Bezwiednie zrobiłam zdjęcie, dziękując w duchu opatrzności, że moja kurtka wygłuszała cyknięcie migawki. Będąc pewna, że rozmawiający na dole mnie nie dojrzą, wyłączyłam Stealthbucka.

Na dole toczyła się rozmowa pomiędzy Coldbrew, *Płaczliwą*, Wildblood i nieznanym mi wilkiem o szarej głowie i brązowej sierści. Jego mundur był o wiele bardziej dekoracyjny

niż ten, jaki nosił wilk pogoniony przez Ataman z tunelu i wskazywał, że jest wysoko postawiony.

– To są Coldbrew i Merry Shy, moi główni technicy – odezwała się umundurowana klacz. – Technicy, to jest Khorunzy Zaied. Przybył do nas z piątym regimentem, aby przyłączyć się do Szturmu. Oboje pochodzicie ze Stajni i wiecie dobrze jakie czekają na nasze wojsko warunki w ciasnych tunelach. Odpowiadajcie na jego pytania i potem jesteście wolni i możecie iść do swoich namiotów.

Ich rozmowa była długa i zawierała wiele pytań, których treść starałam się zapamiętać. Wilk pytał ich o klaustrofobię oraz jak sobie z nią radzić, jak mocno niesie się echo i jakie były zasady użycia broni palnej w korytarzach Stajni.

Coldbrew był im bardzo pomocny, opowiadając wszystko, czego nauczył się na zajęciach, jakie organizowała Ochrona w naszej Stajni.

Merry Shy walczyła dzielnie, aby się nie popłakać, ale okazało się, że w swojej stajni była techniką konserwacji elektrycznych i gdy tylko pytania zaczęły dotyczyć jej zajęcia, udało jej się opanować oraz mówić w miarę składnie. Pytający ich wilk okazał się o wiele łagodniejszy niż Akaj, dopytywał spokojnie o kwestie, które go ciekawiły, jednocześnie nie przerywając im wypowiedzi, nie raz pozwalając płaczliwej Shy na złapanie oddechu, gdy się czegoś wystraszyła. Czułam do tego wilka pewną dozę sympatii: do tej pory był jedynym wilczym przedstawicielem Przyływu, który w żaden sposób nie sprawiał wrażenie groźnego.

* * * * *

Ich rozmowa trwała ponad godzinę, w trakcie której starałam się uzyskać jak najwięcej zdjęć namiotu dowódczego oraz słuchać ich uważnie. Ich plan przewidywał przygotowanie specjalnych drużyn, mających dokonywać sabotaży elektroniki, podpaleń, wykurzania oraz nawet samobójcze ataki z użyciem materiałów wybuchowych. Na samą myśl o tym, jak fanatycznie oddane są siły zbrojne Przyływu, przechodziły mnie ciarki.

Wreszcie zakończono rozmowy i wszyscy się rozeszli. Powoli wróciłam na zewnątrz, skryta pod płaszczem niewidzialności mojego Stealthbucka. Udało mi się sprawnie uporać z wyjściem i zdążyłam jeszcze zobaczyć, do jakiego zakątka obozu prowadzą Coldbrew i w którym miejscu zamieszkał. Ku mojemu zaskoczeniu, mój ukochany mógł się pochwalić całkiem sprawnie złożoną, drewniano-metalową chatą. W pobliżu przechadzało się kilka kucyków, część z nich z PipCol... PipBuckami na kopytach. Chciałam je teraz wszystkie uwolnić, ale moje serce biło mocniej na samą myśl o spotkaniu z Coldbrew. Rozsądek podpowiadał mi też, że nie powinnam, bo nie mamy środków by wszystkie ze sobą zabrać i poumierałyby z zimna w drodze do Stalliongradu.

Upewniłam się, że nikt mnie nie widzi i weszłam do jego chaty przez wejście okryte wiszącymi skórą niedźwiedzi. Moje serce chciało wyskoczyć z klatki piersiowej na jego widok, krzątającego się przy małej kuchni. Nie dostrzegł mnie jeszcze, myśląc pewnie, że to wiatr poruszył płachtą... Wyłączyłam swój stealthbuck i powoli ruszyłam w jego stronę.

Usłyszał mój krok. Odwrócił głowę i zamarł w bezruchu, upuszczając trzymaną w pyszczku patelnię na ziemię. Rozbite na niej jajka wylały się na podłogę w akompaniamencie brzdęku, który sprawił, że na chwilę zdębiałam.

Patrzyliśmy przez dłuższą chwilę na siebie, oboje nie mogąc niczego z siebie wykrztusić.

– Sparkplug?

– Coldbrew... – postąpiłam krok naprzód.

– Psy cię szukają... I łowcy niewolników... – powiedział, wciąż w szoku. Widziałam w jego oczach chaos, niechybnie strumień uczuć.

– Przyszedłam cię uwolnić – powiedziałam cicho i ze łzami w oczach.

– Sparkplug... – zaczął, a ja ruszyłam w jego stronę chcąc go przytulić.

Świat eksplodował bólem gdy mnie uderzył. Upadłam na ziemię, bardziej z szoku zdziwienia niż z faktycznej siły ciosu. Zakręciło mi się w głowie, a świat zalała czerwień gdy spotkałam się z ziemią.

– Zostawiłeś mnie! – krzyknął na mnie i stanął nade mną.

Spróbowałam się podnieść, ale ten tylko mnie kopnął. Nie rozumiałam co się działo. Czemu on mnie bił? Przecież cię kocham!

– Kazałeś mi... – wykrztusiłam.

– Bezczelne łgarstwo! – uderzył mnie w pyszczek.

W oczach mi pociemniało.

<-=====ooOOOOOOoo=====>

Pies w ubraniu i z karabinem stanął na górze, u początku zjazdu i strzelał do nas pojedynczymi strzałami. Nie był dobrym strzelcem, albo miał problem z naszym biegiem, ale kule świszczały między nami. Coldbrew cały czas kłął pod nosem. Gdy braliśmy trzeci zakręt, skoczyły na nas dwa pozostałe psy. Mały przeskoczył nade mną, po ewidentnie źle zmierzonej sile na zamiary i uderzył głową w metalową barierkę, co sprawiło, że się zatoczył. Dokładnie wtedy usłyszałam krzyk Colda.

Wielki pies, ten wolniejszy, przygwoździł go do ziemi swoim cielskiem i przygniótł jego chore skrzydło. Usłyszałam chrupnięcie gipsu (miałam nadzieję, że to tylko gips) i krzyknęłam głośno z przerażenia, stając w miejscu. Z góry dobiegał dźwięk ujadania i szczęku broni. Szary w ubraniu też skakał, pokonując klif i drogę o wiele szybciej niż my wcześniej.

– AAAAAA! Nie waż się mnie zostawiać! Sparkplug! Nie zostawiaj mnie!!! – krzyknął spod psa Cold, jego oczy były wielkie i nabiegłe łzami od bólu. – NIE UCIEKAJ! SPARKLUUUUU...

Bałam się. Tak bardzo się bałam. Więc uciekłam, płacząc i nie zwracając uwagi na jakiegokolwiek przeszkodę i jego głos. Wiedziałam tylko, w którą stronę biec. W stronę Wellsprings. Do kucyków.

Tam. W dole, majaczyło miasteczko.

<-----ooOOOOOOoo----->

Nie rozumiałam, co się właśnie ze mną działo... To co robił... było takie znajome, a jednocześnie obce... Czemu to zrobił?

– Za co? Chcę cię ratować...

– Ty? Mnie?! Kpisz! – prychnął i uśmiechnął się krzywo. Nigdy nie widziałam u niego tak podłego uśmiechu. – Nie potrafiłaś nawet pociągnąć spustu w tamtej stacji paliwowej!

<-----ooOOOOOOoo----->

Od frontu stały zdezelowane pompy. Próbowałam sobie przypomnieć od czego one były... Tutaj zatrzymywano się samowozami... Ale po co? Co pompowano do samowozów? Chwyciłam magią zleżały wąż od pompy i przyjrzałam się kontrolkom. Licznik był niewyzerowany i rolki z cyframi wskazywały wciąż kwotę do zapłaty. Mogłam tylko wyobrazić sobie, jak ktoś w czasie zagłady zapomniał zapłacić i uciekł lub po prostu ukradł zawartość, gdy wszystko zaczęło się walić. Przygnębiające.

Jakież jednak było moje zdziwienie, gdy po naciśnięciu spustu w pistolecie z węża wystrzeliła struga płynu i niemal mnie ochlapała. Pisnęłam zdziwiona i upuściłam mokry wąż na ziemię. Coldbrew natychmiast był przy mnie i patrzył się zdziwiony na moje "dzieło", po czym się roześmiał.

– CO?! – krzyknęłam zdenerwowana i przestraszona. Na sekundę opadły mu uszy, ale na jego twarzy po chwili wykwitł złośliwy uśmiech.

– Do tego jesteś dobra. Żeby można sobie było strzelić! – śmiał się już teraz w głos, opuszczając nisko głowę... Penisie żarty... Jakoś mnie to nie bawiło. Śmiał się długo i zakończył wymuszonym i obleśnym pocałunkiem. To było okropne! Życie nie było warte trwać.

Gdy już ochłonęliśmy, ruszyliśmy do budynku. Nie był jakiś duży. Miał oszklone, ale wyjątkowo brudne ściany od strony pomp, otwarty duży garaż po prawej, w którym spoczywały szczątki jakiegoś małego samowozu. Coldbrew wyjął pistolet z kabury i z nim w zębach przeczesywał garaż. Ja wylewitowałam moją broń z kabury i podkrađłam się do głównego wejścia. Przez uchylone w połowie szklane drzwi widziałam tylko mrok, ale mój EFS nie wskazywał niczyjej obecności, poza niebieską kreską Colda. Włączyłam latarkę w swoim PipColt'cie i powoli zanurzyłam się w mrok stacji paliwowej.

Nie było tu dużo. Widać wielu przed nami już odwiedziło to miejsce i wybebeszyło je do czysta. Półki były niemal wyczyszczone, po podłodze walały się puste, otwarte puszk i

butelki po alkoholach i innych napojach, jak Sparkle Cola. Ze zdziwieniem zauważyłam, że jednak uchowało się parę zamkniętych tego ostatniego. Kreska na pipbucku zamrugła na czerwono. Teraz miałam szansę... Mogłam się uwolnić! Rozglądając się na obie strony, czy nikt nie widzi, Zaczęłam skradać się za półką z napojami, aby móc zaskoczyć Coldbrew i skończyć to szybko...

– Ej, Co tam masz?

Podskoczyłam przestraszona i wymierzyłam pistoletem w źródło głosu, a butelka Sparkle Coli rozbiła się z brzdęknięciem o ziemię, gdy straciłam ją ogonem przy obrocie. Od tego dźwięku zacisnęłam uścisk mojej telekinezy na spuście i... Usłyszałam tylko kliknięcie spustu.

Coldbrew patrzył na mnie przestraszony, ale po chwili się wściekł. Uderzył mnie, wybijając mi z pyszczka pistolet a następnie zaczął mnie kopać gdy już leżałam. Myślałam, że mnie zabije. Bałam się, nie chciałam umierać!

– Przepraszam! Nie chciałam! – łkałam głośno, leżąc na ziemi i zasłaniając oczy kopytkami. Rozlany, lepki napój był teraz mało ważny, nawet jeżeli zlepił futerko mojego zadka. Czułam krew na pyszczku – Przestraszyłam się!

Po chwili podszedł do mnie, niepewnie i ostrożnie i wziął z ziemi mój pistolet. Obrócił go w pyszczku i mi podał.

– Bęfief fiepieć fiepej...– wyseplenił przez uchwyt pistoletu. – i odfefiefaj froń fafiefnym fafem.

Był straszny i wiedziałam, że nie będę w stanie powtórzyć tego wyczynu.

<-----ooOOOOOOoo----->

Dlaczego... Co się działo? Czy...

Chaos moich myśli uspokoił się, gdy stał nade mną i dysząc się mi przyjrzał.

– Ale ekwipunek... No no... – zagwizdał. – Myślałby kto, że aż tak będziesz za mną tęsknić... – oblizał wargi i przypadł do mnie.

Chciałam krzyczeć, ale wiedziałam, że nikt mi nie pomoże. Błagałam go by mnie zostawił.

– Będę musiał cię oddać Ataman... Ale i tak się stęskniłem... Mniej beczysz niż Merry...

<-----ooOOOOOOoo----->

Kamienne kolumny podtrzymujące dach altany nie tłumiły krzyków i stękania dwóch splecionych w ciasnych śpiworach kucyków. Coldbrew był wściekły i dawał temu upust. Rozumiałam go. To wszystko była moja wina. Byłam bezpłodna.

Gryzł mnie po szyi i po uszach, kopał po rogu i zadku. Był niewyżyty i brutalny, a ja mogłam tylko cicho łkać w śpiwór. Byłam niedobra, zepsuta. Przeze mnie nas wyrzucono. Nigdy nie będziemy mieć dziecka, które by mnie pokochało i pozwoliło mi znieść jego humory. Kochałam go, ale chciałam tak bardzo, by był dla mnie dobry. Miałam tylko jego, zwłaszcza teraz.

<-=====ooOOOOOOoo=====>

Nie...

Nie.

NIE!

– NIE! – krzyknęłam mu prosto w pysk i podniosłam się. Odskoczył ode mnie, przestraszony i zasłonił się skrzydłem.

Wszystko do mnie wracało. Wszystko pamiętałam. Lata zaniedbań i bicia, wmawiania mi, że coś jest moją winą. Wszystkie niepowodzenia jakie wciskał na mnie i moim zmaltretowanym ciele i umyśle. Oskarżenia z czasem stały się usprawiedliwieniem; usprawiedliwienia z czasem stały się wyjaśnieniem; wyjaśnienia stały się urojeniem. Urojenia nadzieją.

W moim sercu zapłonął nowy ogień. Ogień nienawiści i złości, niczym strumień powodzi przerywający tamę zobojętnienia i ucieczki. Obtarłam krwawiący policzek w rękaw, a gdy ujrzałam krew, spojrzałam nienawistnie na Coldbrew. W ponurej satysfakcji ujrzałam, że zaczął się trząść.

Nie byłam już Sparkplug-ofiarą. Nie byłam dzieckiem wychowanym w Stajni pod bokiem apodyktycznego, megalomaniakalnego chłopaka terroryzującego własnych rodziców. Tamta Sparkplug musiała w końcu dorosnąć.

Nie byłam już niewinną klaczą bojącą się krzywdy, tak cudzej jak i własnej. Ten świat mnie skrzywdził i byłam gotowa mu oddać.

Gniew płonął w mych żyłach, a wzrok nabiegł czerwienią. Mój rewolwer wyfrunął z kabury i zanim Coldbrew zdolał krzyknąć, wbiłam mu lufę w usta. Zakrztusił się i próbował się bronić, ale byłam zawzięta. Moje przednie kopytka pokryły się magicznymi palcami a następnie zbliżyłam się do niego. Jedna magiczna dłoń zacisnęła się wokół jego gardła, a druga chwyciła jego pysk i sprawiła że musiał zagryźć lufę. Wstrząsnęły nim torsje. Zsikał się.

– Jesteś gnidą! – wycedziłam przez zęby, patrząc mu prosto w oczy. Był przerażony.
– Zawsze nią byłeś i na zawsze nią pozostaniesz... – z jego oczu pociekły łzy bólu, a ja z zadowoleniem mogłam się od niego oddalić. W mojej głowie mętlik powoli ustępował pełnej

klarowności. Powódź myśli powoli się uspokajała, paradoksalnie uporządkowana przez mój gniew. – Powinnam ci podziękować... Właśnie mnie uwolniłeś...

Moja magia odciągnęła kurek rewolweru, a on zawył potępieńczo.

Śmierć zmienia wszystko.

Mógł tak łatwo zapłacić teraz za wszystkie moje krzywdy. Za to, że chciałam narazić na krzywdę i śmierć moich przyjaciół i za to, że być może Frosty oddał za niego życie. Nie był tego warty.

Życie może przeciwstawić się śmierci.

Uspokoiliam się. Magia powoli zamknęła kurek i wysunęła broń z jego ust.

– Ale myślę, że zwyczajnie daruję ci życie...

Wycelowałam w jego uzbrojoną w PipColta nogę i przyłożyła do jego ekranu lufę. Rozległ się strzał i krzyk pegaza. Pipbuck stanął w płomieniach od zapalającej kuli, która spenetrowała ekran i utknęła w płycie głównej minikomputera. Stealthbuck zabłyszczał chwilę potem, gdy wybiegałam z jego chaty.

Podniósł się raban. Psy i kucyki biegały w panice, a inni próbowali ugasić nogę Coldbrew, który wybiegł na zewnątrz i krzyczał potępieńczo. Okryta niewidzialnością obserwowałam to spomiędzy dwóch chat.

Do zajścia zleciało się naprawdę wielu gapiów, a na sam koniec dołączyła do nich sama Ataman Wildblood.

– Co się stało?!

– Sparkplug! – Coldbrew syknął z bólu, trzymając kopyto w wiadrze z lodową wodą. – Jest w obozie! Zniszczyła mój PipColt!

Klacz warknęła i zaczęła wydawać rozkazy zebrany wokół psom. Z zadowoleniem obserwowałam chaos, jakiemu próbowała przeciwdziałać, pomimo faktu, że teraz będzie mi jednak o wiele trudniej stąd uciec.

Gdy już uznałam, że nasyciłam się jego cierpieniem, chciałam cicho oddalić się z miejsca zdarzenia, jednak wtedy dopiero dostrzegłam, że wśród zainteresowanych pojawił się Guildenstern. Rozglądał się po okolicy, jak drapieżny ptak i wypatrywał mnie. Jego mechaniczne oko świeciło nienaturalnym, bursztynowym blaskiem.

Gdy jego wzrok padł na mnie, uśmiechnął się i wzbił w powietrze, kierując się prosto na mnie. Zobaczył mnie! Jak?! Ruszyłam galopem pomiędzy chatami i nie miałam zamiaru czekać, aż mi to wyjaśni. To musiało być to jego oko!

Obóz był postawiony w stanie gotowości bojowej i wszędzie uwilali się strażnicy i węszące, rozglądające się psy. Gdy milkła syrena alarmowa, słyszałam jak pomiędzy nimi krzyczą, że jestem niewidzialna i jak powinnam wyglądać jak nie będę niewidzialna. Nie pomagało mi na pewno to, że lecący wysoko Guildenstern zdawał się mnie śledzić, ale nie próbował mnie pochwycić. Niemal czułam jego oddech na karku. Na szczęście adrenalina nie pozwalała mi się skupiać na mętliku jaki wywołały we mnie prawdziwe wspomnienia o Coldbrew.

Biegłam w stronę Stalliongradu, mającego w powoli zapadającym zmroku łuną i odbijającym złote promienie słoneczne zachodzącego słońca. Ich kolor przypominał mi płomienie, a te kazały mi przypomnieć sobie o Frostym. Wyjęłam pistolet racowy i zatrzymałam się by wystrzelić flarę.

W chwili gdy moja magia pociągnęła za spust uniesionej w niebo broni, mój Stealthbuck się rozładował. Wszystkie psy w okolicy spojrzwały na mnie niczym na ducha i z przerażeniem podążyły wzrokiem za wystrzeloną w niebo racą.

Czerwony dym i rozbłysk przypominający miniaturowe słońce dały mi chwilę ich nieuwagi by móc kontynuować swoją ucieczkę. Puściłam się galopem, kierując się w stronę najbliższej palisady.

Usłyszałam świst i pisk jastrzębia. Tylko to mnie uratowało bo natychmiast odskoczyłam na bok, koncentrując się na zakłęciu chodzenia po ścianach i wbiegłam na dach jednego z baraków. W śnieg obok mnie niemal wbił się z wielką prędkością Guildenstern. Ewidentnie nie przewidział mojego odskoku, bo jego późniejszy manewr sprawił, że wpadł w drewniany wózek zaparkowany w uliczce.

SATS zabrzęczał, gdy w trakcie mojego biegu po ścianie zakolejkowałam trzy strzały w skrzydło i jeden w jego lewy szpon. Niestety, jego położenie nie pozwalało mi trafić go w głowę.

Każdy strzał dosięgnął celu, jednak nie wyrządził mu żadnej krzywdy. Wszystkie kule przeleciały bez zadawania obrażeń przez jego skrzydła, a ta wymierzona w szpona jedynie się splaszczyla i zachwiała nim. Psy strzelały za mną po ścianach, jednak mogłam biec dalej. Udało mi się dobiec do palisady w parę sekund później.

Dzięki mojemu zakłębieniu, wspięcie się na drewnianą ścianę i przeskoczenie jej nie stanowiło żadnego problemu. Nawet z zadowoleniem patrzyłam na tępe miny psów nie mogących pojąć jak mi się to udało.

Niestety w okopie po drugiej stronie, psów było więcej. Wycelowały we mnie swoją broń i kazały się poddać.

Poczułam się w potrzasku. Stawianie oporu teraz mogło skończyć się śmiercią. I wtedy z nieba spadł ogień.

Przy niesamowitym ryku szalejących płomieni, do okopu z nieba opuścił się niebieski gryf, swoimi szponami miotając ogniste języki smagające okopy. Frosty wylądował za mną w okopie i zaczął stawiać ścianę ognia pod drewnianą palisadą.

– Gdzie twój chłopak, Sparks?

– Nie jest moim chłopakiem! – odwrzknęłam mu, co wywołało na jego dziobie bezgraniczne zdumienie. Moje magiczne szpony chwyciły mój i jego pistolet i stanęłam do oszołomionych psów przodem, na tylnych kopytach. – Jest po ich stronie!

– A to kutas... – wycedził po chwili przez zęby.

Ostrzelałam nadbiegające okopem psy, jednak te pochowały się do dołów strzelniczych. Popukałam łokciem jego tył byśmy zamienili się miejscami. Nasza idealna synchronizacja przypominała mi taniec, gdy obracaliśmy się w miejscu i gdy jego płomień spowiły kryjówki psów wywołując krzyk przerażenia i bólu.

– Mów mi jeszcze! – powiedziałam, strzelając do dwóch psów, które wyskoczyły z palisady w naszą stronę. Jeden dostał w głowę, drugi w tors. SATS brzęczał.

– Nie wie co traci! Patrz! Tyle facetów cię chce! – zaśmiał się, gdy ponownie wykonaliśmy piruet i gdy użył swoich płomieni by stworzyć nad nami płomienną zasłonę. Wtedy uciekliśmy z okopu i ruszyliśmy w stronę zamrożonej rzeki. Jego śmiech dodawał mi otuchy i siły, choć jakaś część mojego umysłu podpowiadała mi, że to nie czas i miejsce na żarty.

Rzuciłam mu jego pistolet, który chwycił w locie i wycelował go za siebie. Kiedy ja biegłam i prowadziłam ostrzał za siebie, on pilnował mnie z nieba. Psy biegły za nami. Syreny alarmowe wydawały się teraz odległe.

– Jak ci się udało..? – zapytałam gdy udało nam się zyskać nieco przewagi nad pościgiem. Na śniegu psy musiały sobie radzić o wiele gorzej niż na drodze, gdy mogły dogonić pędzący samowóz.

– Oblałem się płynem do gaszenia! – odpowiedział z łotrowskim uśmiechem. – Potem ukrywałem się na wieży ciśnień! Masz jakieś zdjęcia? Głupio byśmy to wszystko robili po nic!

– Mam! Dużo! Stalliongrad jest w niebezpieczeństwie!

– Co?! - To już mocno na niego wpłynęło. Spoważniał i wyrównał lot z moim biegiem.

– Planują podkop! Otwierają grodzie w systemie metra spoza miasta!

– Wiedzą, że to widziałaś!?

– Nie! Nie widzieli mnie!

– Musimy to zabrać do kwatery!

Dotarliśmy do brzegu rzeki, gdzie nie czekając Frosty podał mi linę i zaczął mnie ciągnąć po lodzie w trakcie lotu. Słońce niemal już zaszło i miałam nadzieję, że mrok Luny ukryje nas przed wzrokiem psów. Faktycznie, nie było już słychać ich ujadania i nawoływań, ani nikt już do nas nie strzelał.

Nie ukryliśmy się jednak na pewno przed wzrokiem Guildensterna. Cybergryf zanurkował prosto we mnie i prawie mnie trafił. Przebił on grubą taflę lodu. Gdy już myślałam, że się tam utopi lub zamroźnie, tuż przed nami powierzchnia lodu eksplodowała ku górze i w towarzystwie spienionej wody wyłonił się łowca niewolników.

– Jesteś moja, Sparkplug! – krzyknął gdy ponownie spróbował zanurkować i przebił lód, po którym uciekaliśmy. Raz prawie udało mu się mnie chwycić i podskoczyłam w

powietrze na ponad metr. Ponowne uderzenie w taflę sprawiło, że moje zakłęcie szponów prysło. Puściłam linę i szybko wytraciłam prędkość.

Guildenstern był już prawie przy mnie. Wylądował na lodzie, a jego długie szpony i pazury jego łap pozwalały mu się szybko i sprawnie poruszać po śliskiej nawierzchni. Z przerażenia jego bliskością nie mogłam skupić magii i nie dałam rady sięgnąć po broń.

– Jesteś moja! – wycharczał i sięgnął w moją stronę swoim żywym szponem.

– Ta pani jest ze mną... – szpon Frosty'ego uzbrojony w dyszę miotacza zacisnął się nade mną i buchnął Guildensternowi prosto w twarz.

Nigdy nie słyszałam aż tak ostrego pisku bólu, jak ten który mogło z siebie wydać mechaniczne gardło czarnego gryfa. Usłyszałam jak jego mechaniczne oko pęka niczym szklana bombka. Z niedowierzaniem patrzyłam jak łowca niewolników tarza się po lodzie próbując ugasić swoją głowę.

– Lecimy dalej! Łap za sznur!

Mrok nocy spowił naszą ucieczkę, a późniejsza śnieżycą zatarała nasze ślady gdy dopadliśmy do brzegu. Luna nam sprzyjała.

* * * * *

Nie próbowaliśmy się zatrzymywać niemalże do północy i dopiero wtedy odważyliśmy się rozbić schronienie, gdyż baliśmy się, że padniemy w okropną śnieżycę.

Teraz, ukryci przed wzrokiem oraz wiatrem, mogliśmy się ogrzać przy prowizorycznym ognisku. Byliśmy głodni i zmęczeni, i nie mieliśmy do picia niczego poza stopionym i zagotowanym śniegiem, ale byliśmy cali.

Wspomnienia jakie uwolnił Coldbrew były prawdziwe. Wiedziałam to, jednak nie rozumiałam, czemu wydawało mi się, że były czymś innym. Musiałam to z kimś omówić i dlatego porozmawiałam o tym z Frostym, gdy tylko opowiedziałam mu ze szczegółami, czego dowiedziałam się w obozie Przyływu.

– Brzmi jak wyparte wspomnienia.

– Co to oznacza? Dlaczego je wyparłam?

– Były złe, co nie?

– Były... Ale...

– To normalne – powiedział, gotując dla nas nieco więcej wody do picia. – Jeśli jakieś wspomnienie jest dla ciebie zbyt ciężkie i sprawia, że nie możesz funkcjonować, twój mózg stara się je wyprzeć. Najczęściej się je zapomina lub spychane są na skraj podświadomości.

– Skąd o tym wiesz? Jesteś psychologiem? – spytałam z zadumą, nie do końca wierząc jego ekspertyzie.

– Nie. Daleko mi do czegoś takiego - odpowiedział ze smutnym uśmiechem. – Ale mój oddział jest pełen takich. Wysyłają do nas wszystkich wykolejeńców i resocjalizacyjnych. Wielu z nas stara się zapomnieć o swojej przeszłości, każdy z nas zobaczył rzeczy, których żaden kucyk czy gryf oglądać nie powinni.

– Co wypierasz?

– Krzyki płonących żywcem... – powiedział po chwili, uśmiechając się nienaturalnie szeroko. Spuściłam uszy. Rozumiałam.

– Nie wiem czy to to samo. Powinnaś porozmawiać z lekarzem, może takim od głowy. Najłatwiej chyba będzie z Killerdose'em, nie? Nie wiem czy się na tym zna, ale może będzie widział, kto może ci pomóc.

– Tak. To chyba dobry wybór. I tak mamy się do niego wybrać porozmawiać o tej sprawie z Veil, gdy wrócimy.

– No widzisz. Jakby co, to wiesz, o ile mnie nie zamkną za dezercję to służę wsparciem.

Siedzieliśmy tak przy ogniu, blisko i staraliśmy się ogrzać własnym ciepłem. Po chwili przytuliłam się do niego i wtuliłam twarz w jego opierzoną pierś.

– Dziękuję ci, że mi pomogłeś... że wciąż jesteś pomimo, że wyszło jak wyszło...

– Ej... No jak mógłbym odmówić klaczy w potrzebie – powiedział czule i pogłaskał moje kopytko. – Co by ze mnie był za hipogryf?

Moja magia uformowała szpon na głaskanym kopytku. Palce mojego magicznego szpona bezwiednie splotły się z jego prawdziwym w uścisku.

Mój umysł uspokoił się zupełnie i podczas tego krótkiego snu poskładał mnie z powrotem do kupy.

* * * * *

Poranek nie należał do najmiłszych. Byliśmy zmarznięci, głodni (uznaliśmy, że nie powinniśmy marnować czasu na posiłki) i nie byliśmy pewni otoczenia na zewnątrz. Przyptyw, albo i Guildenstern wciąż byli zagrożeniem, z którym musieliśmy się liczyć. Siły dodawała nam determinacja i konieczność ostrzeżenia RNP przed planowaną inwazją spod ziemi.

Pozostawiliśmy za sobą namiot i wyruszyliśmy w marsz pośród zasp. Zimno wczesnego poranka doskwierało nam i niemile kontrastowało z ciepłymi barwami nieba. Wschód, choćby nie wiem jak zimny, wciąż był piękny i żałowałam, że nie możemy chwilę postać, by go podziwiać.

Dwa razy udało nam się uniknąć patroli Przyptywu, a Guildensterna nie było nigdzie widać. Sprzyjało nam szczęście.

To samo szczęście sprawiło, że natrafiliśmy na patrol RNP. Przekonanie ich, że Frosty nie jest dezterem było nieco trudne, ale gdy usłyszeli o tym, że mamy informacje o

rychłym ataku przyływu wystarczyły im, aby odprowadzić nas na swój posterunek, a stamtąd wysłać nas do Stalliongradu, do Aquila Bear na którą się powołałam.

Byliśmy bezpieczni.

* * * * *

Aquila była zdziwiona naszym pojawieniem się w jej gabinecie. Podejmowała właśnie Stalliongradzkiego gwardzistę, a wyraz jej twarzy, gdy oboje, zniecierpliwieni czekaniem oraz powagą sytuacji, weszliśmy do jej gabinetu rzędnął natychmiastowo.

– Sparkplug! Frosty! Wypad! Co to za zwyczaj...

– Zamknij się i wysłuchaj co ma do powiedzenia! – wszedł jej w słowo hipogryf, czym wprowadził w osłupienie wszystkich, włącznie ze mną. Aquila szybko otrząsnęła się ze stuporu, ale nie dałam jej się odezwać.

– Byliśmy w obozie Przyływu! Planują atak w nowy rok!

– Co za stek bzdur! – major wstała już zza biurka, czerwona na twarzy i z gniewem w oczach. – Pegazy pogodowe zapowiadają najgorszą zimę właśnie po to, by Przyływ nie podszedł pod bramy! W ogóle, jak niby dostaliście się w najniebezpieczniejsze miejsce na tamtym brzegu Żyły!? Jak opuściliście miasto!?

– Przez Night Gown! – krzyknęłam i położyłam na biurku aparat fotograficzny. – Mam zdjęcia z ich obozu i wiem co planują! Wejdą do Stalliongradu tunelem, aby uniknąć pegazów pogodowych.

Aquila przez chwilę patrzyła na mnie jakbym uderzyła ją w twarz. Nadęła nozdrza i zacisnęła mocno zęby.

– Sparkplug... Nie wiem co sobie ubzdurłaś, gówniario, ale macie pięć sekund na...

– Major Aquila Bear! – dotąd cichy gwardzista odezwał się władczo i wstał ze swojego fotela. Aquila obrzuciła go gniewnym spojrzeniem, ale ten pozostał niewzruszony i kontynuował dalej władczym, ale jednak uprzejmym tonem. – Nie lekceważyłbym słów waszego podkomendnego i jego podopiecznej – podszedł za nas, a ja poznałam w końcu jego twarz. Był kapitanem gwardii przybocznej Marble Raina! Jego biały pancerz z czerwoną peleryną zatrzepotały, gdy odwrócił się za nami, samą swoją postawą dodając mi otuchy.

– Jeżeli mówią, że mają dowody na wsparcie swoich słów, należałoby ich wysłuchać. Na pewno tego zażyczyłby sobie Król, gdyby wpadła do jego komnaty nasza Sparkplug i powiedziała mu o czymś tak ważnym i niebezpiecznym – w jego słowach wyczuć można było nacisk na moje imię i tytuł króla oraz dobrze zauważalną groźbę. Czułam się wyróżniona.

– Kapitanie! A-Ale... To niemożliwe, że tam byli!

– Kiedy Ambasador Sidewinder przybył do Stalliongradu siedem lat temu, twierdził, że to niemożliwe, że nasze miasto przetrwało niemal niewzruszone przez dwieście lat i że ma szansę porozmawiać z kontynuatorami Starego Świata – w głosie kapitana zabrzmiała

już ciężka, niecierpiąca zwłoki nuta. – Jeśli nie chce pani wysłuchać tych dwojga, Król chętnie ich wysłucha. Nie omieszkam przy okazji wspomnieć jak potraktowała pani posłańców.

Aquila warknęła ze złości i zmęła w zębach przekleństwo. Wiedziała już, że nie mam co szukać u niej dalej zatrudnienia. Kapitan uśmiechnął się serdecznie i podał mi aparat z biurka Aquili.

– Więc jak? Czy Ambasada RNP udzieli nam swojej ciemni i pozwoli wywołać zdjęcia?

– Niech będzie. Zapytajcie kwatermistrza o dostęp – wskazała na mnie i Frostyego, a następnie na drzwi. Gwardzista uklonił się nisko i ruszył razem z nami.

– Wyślę gońca po szefową Stalliongradzkiej straży. Radzę zebrać swoich taktyków i przygotować salę obrad – odrzekł zanim zamknął za naszą trójką drzwi.

* * * * *

Wydarzenia tego dnia zatarły się nieco w mej pamięci z powodu chaosu, jaki mu towarzyszył. Po tym, jak wywołaliśmy zdjęcia i zreferowałam moje znaleziska oraz co usłyszałam przedstawicielom Gwardii Stalliongradzkiej oraz głównym dowódcom wojskowym RNP i Ambasadorowi Sidewinderowi, zostaliśmy zwolnieni z dalszych obrad. Wyszliśmy przed Kwaterę, powitani przez drzewo wisielców. Ze wstrętem dostrzegłam, iż przybyło nowych ukaranych. Po chwili usłyszeliśmy znajomy, ciężki akcent wykrzykujący moje imię.

– SPAHPLUG!

Killerdose, cały zaaferowany i zziębnięty wybił się z tłumu kucyków i pobiegł do mnie. Nigdy nie widziałam w jego oczach takiego niepokoju, nawet wtedy, gdy wszyscy trafiliśmy w niewolę. Zawsze był opanowany i spokojny, doskonale przygotowany, nawet patrząc w czeluść paszczy Behemota. Teraz był przerażony.

– Spahplug! White Veil! Ona... – zaczął, a jego dalsze słowa zmroziły mi krew w żyłach – zaszła ode mnie abohcji... Gdy powiedziałem, że nie mogę, wpadła w szal i wybiegła... Boję się, że sobie coś zchobi, była w szoku... Nie wiesz gdzie może być?

Nie miałam pojęcia co się z nią działo, ale moja głowa wirowała od tej informacji. Obiecałam jej, że jej pomogę, że razem coś poradzimy.

– Kiedy to było?!

– Pół godziny temu!

Ruszyłam szybko w stronę domu. Nie myślałam gdzie mogę ją znaleźć, działałam odruchowo. Frosty leciał za mną, próbując dopytać mnie co się stało, ale nie byłam w stanie zapamiętać, czy mu nawet powiedziałam. Kazałam mu tylko szybko lecieć do mojego domu.

Widziałam ją z daleka, w jej zielonym mundurze, jej białe włosy powiewające na wietrze niczym postrzępiony sztandar, gdy stała na dachu.

– Veil! – krzyknęłam, czując jak oczy mi pękają z tego widoku.

Skoczyła. Moje serce zamrtało i stanęłam jak wryta.

Wtedy powietrze przeszył świst i niebieska smuga pomknęła w jej stronę, aby złączyć się z nią niemal tuż nad ziemią i uderzyć w bruk, turlając się z nią dalej oraz rozbijając się o ustawiony stragan z żywnością.

Podbiegłam do nich. Frosty był zamroczony, ale powoli podnosił się na nogi. Veil, najwyraźniej mniej uszkodzona od tej kraksy stała nad nim i krzyczała na niego.

– Czemu nie pozwolisz mi umrzeć?! – głos jej się łamał, w jej oczach były łzy. Wokół zebrał się tłum gapiów. – Nie chcę! Nie chcę tego nosić! Tego rodzić!

– Veil! – podbiegłam do niej. Odwróciła się do mnie, cała w łzach, zasmarkana i potargana. – Dlaczego?

– Dlaczego?! – wybuchła histerycznym płaczem. – Nie chcę... tego! Killerdose powiedział, że nie usunie bo nie ma sprzętu, że to by było potworne!

Na te słowa podbiegł Killerdose, zziębnięty i potwornie.

– Ja... ja... Ja nie mam... Sprzętu... – oddychał ciężko. – Mohbym cię zabić! Jak ciosz by nie wyszło, musiałbym cię rozciąć i *ausschneiden* twoją macizę!

– Nie obchodzi mnie to! Nie chcę tego... Tego CZEGOŚ!

Spuściłam uszy na jej słowa. Wiedziałam, jaką krzywdę jej wyrządzono, co z nią zrobiła i jak zniszczyła tę cudowną osobę. Nie mogło jednak do mnie dotrzeć, jak można zabić dziecko, które się nosi. Przecież nie było one winne, że się pojawiło... Nie pchało się na ten świat...

Śmierć zmienia wszystko. Życie może przeciwstawić się śmierci.

– Ale... Ale ono przecież jest niewinne.

– C... Co?! – zachnęła i zwróciła się do mnie ze złością. – Co powiedziałaś?!

– T... To dziecko przecież nic nie zrobiło...

– **To nie jest dziecko!** – wykrzyknęła mi w twarz i uderzyła mnie z całej siły. Przewróciłam się, a ona stanęła nade mną. – To jest potwór taki jak ten... Ten... – głos całkowicie jej się załamał. – Myślałam, że ty mnie rozumiesz! Po tym co... Co Guildenstern...

Pierwszy raz od naszego rozdzielenia, nie śnił mi się Coldbrew, ani nie czułam za nim specjalnie silniejszej tęsknoty niż zwykle. Śniły mi się natomiast koszmary: okropny dziób Guildensterna i jego mechaniczne oko oraz biały jednorożec. Byliśmy w biurze Stone

Slingera. Guildenstern mnie trzymał i nie pozwalał uciec, a tamten łowca próbował rozewrzeć moje zadnie nogi i...

Chciałam krzyczeć! To był sen! Tylko koszmar! To nie była prawda!

Blizny na udach I plecach. Odciski szponów. Cięcie, chwycenie, przeszywający ból.

Co ona mówiła... Nikt mnie nie...

Pociemniało mi w oczach.

Nie wiem ile to trwało, gdy tak nade mną stała, ale po jakimś czasie podeszła do niej klacz ubrana w wypolerowany, metalowy pancerz wykonany z blachy. Miała sterczącego irokeza pomalowanego w neonowe kolory i zawieszone na grzbiecie siodło bojowe z karabinem laserowym.

– Chodź siostró. Gadżeciary ci pomogą...

* * * * *

Dni mijały mi na rekonwalescencji. Po tamtej konfrontacji z Veil, kompletnie załamalam się i nie ruszałam z domu. Mój umysł próbował poukładać sobie wszystkie informacje i wyprzeć insynuacje, jakie zasiała w nim Veil. Wiedziałam, że powiedziała mi to tylko po to, aby się odegrać, że to wszystko przez jej własną krzywdę, jednak nawet jeśli to była nieprawda, lub nawet i prawda, nie miałam zamiaru tego uznać. To się nie zdarzyło!

Przez pierwsze dwa dni byłam w stuporze i nie chciałam z nikim rozmawiać. Do pokoju zanieśli mnie Frosty i Killerdose. Dzięki ich opiece w końcu zaczęłam reagować na ich pytania i się do nich odzywać. Odzyskiwałam spokój ducha.

Raz przyszedł kapitan straży, by przekazać mi przez Killerdose'a informacje i podziękowania od Marble Raina. Stalliongrad zabezpieczył się przed atakiem Przyływu przemieszczając duże oddziały dla eskorty i pieczętując tunele metra, którymi miano przeprowadzić psie kohorty. Zapewnił sobie bezpieczeństwo i jednocześnie zrewidował swoje protokoły bezpieczeństwa. Zapobiegłam wielkiej rzezi. Uczucie spełnienia obowiązku było tym, co przełamało najsilniejszą barierę w moim umyśle i mogłam wreszcie zacząć próbować normalnie funkcjonować.

Moi przyjaciele bardzo mi pomagali, dotrzymując mi towarzystwa i odbudowując nadszarpnięte zaufanie. Gallant prawie mnie nie odstępował, rywalizując z Frostym, który został zdegradowany za obrazę oficera i spędzał ze mną każdą możliwą wolną chwilę. Oba ogiery (czy Frosty'ego można tak było nazwać z czystym sumieniem?) zdawały się rywalizować o moją uwagę i nawiązała się między nimi dziwna nić porozumienia. Obaj mówili mi o tym co dzieje się w mieście i chwalili mnie za to co zrobiłam. Gallant miał w swoich oczach ogromny smutek i wstyd.

Grease Junkie obiecała mi, że nie jest zła za to, że ukradłam narzędzia i że chce bym dalej dla niej pracowała. Odwiedzała mnie zawsze po zamknięciu warsztatu i zawsze

przynosiła mi coś słodkiego do zjedzenia. Kiedyś także odwiedziła mnie Sun Beam, która była ze mnie dumna, gdy opowiedziałam jej, jak wiele razy jej zakłęcie uratowało mi życie w obozie Przyptywu.

Peach Ball spędzała ze mną cały czas gdy nie byli ze mną Frosty, czy Gallant. Po tamtej akcji z zamknięciem jej towarzysza w toalecie i wypuszczeniu nas (nie powiązano ich jednak z nami) została dyscyplinarnie zwolniona ze służby za napaść na starszego rangą i zmuszona do przejścia do cywila. Mówiła mi, bym się tym nie przejmowała, bo ta praca i tak nie spełniała jej wymagań i że RNP ma w zwyczaju przemykać oko na krzywdę maluczkich, którym chciała pomagać. Wciąż, było mi źle na sercu, że przeze mnie straciła swoją pracę, którą jak opowiadała mi Grease, była jej wymarzoną.

Killerdose pomagał najbardziej aktywnie. Gdy udało mu się w końcu do mnie dotrzeć, odwiedzał mnie co wieczór i w towarzystwie Gallanta lub Frosty'ego ze mną rozmawiał i starał się pomóc mi poskładać moją psychikę do kupy.

Miał wiele teorii dotyczących tego, co działo mi się wcześniej, co sprawiło, że wyparłam wspomnienia o Coldbrew i zastąpiłam je zmyślonymi. Wiele naukowych terminów, z których najłatwiejszy do zrozumienia był ten o tym, że mam uszkodzony mózg i jestem podatna na halucynacje, które ponoć są dosyć popularne wśród mieszkańców Stajni, których organizmy nie są przystosowane do światła słonecznego i jego promienie mogą zaburzać pracę układu nerwowego. Nazywał tę podatność Syndromem Izolacji.

Udało mu się przygotować dla mnie eksperymentalną terapię, która polegała na spisywaniu moich ważniejszych wspomnień i przemyśleń w pliku na moim PipColtcie. Miałam szczęście, ponieważ mój program notatek umiał rozpoznawać mowę i zamieniał ją na tekst. By zminimalizować możliwość, że same wspomnienia i przemyślenia będą zniekształcone przez moją przypadłość, polecił mi dokonywać tych spisów w towarzystwie kogoś, kto może je korygować w miarę opowieści.

W ten sposób udało nam się przez tydzień dokonać większości wpisów dotyczących mojego życia po wyjściu ze Stajni 69. Killerdose polecił mi też, abym wstrzymała się ze spisywaniem wcześniejszych wspomnień, bo mogą one być właśnie błędne, tak jak te z początku mojej podróży.

Miało to sens.

Pewnego dnia Killerdose przyniósł mi gogle spawalnicze. Powiedział, że zdobył je od jednego z górników i że powinny pomóc mi filtrować światło słoneczne, gdy przyjdą cieplejsze dni. Mówił, że na ogół będę prawdopodobnie mogła się bez nich obejść, ale gdy światło będzie wyjątkowo ostre i będzie raziło mnie w oczy, powinnam je nosić. Byłam mu wdzięczna za wszelką pomoc, jednak nie mogłam oprzeć się wrażeniu, że stara się za wszelką cenę udowodnić mi, że mu naprawdę zależy i że chce pomóc, a Veil naprawdę nie był w stanie.

Veil zniknęła bez śladu. Frosty wspominał, że widział ją gdzieś na służbie, w towarzystwie klaczy z gangu Gadźeciar, ale nie miał pewności czy to na pewno była ona.

* * * * *

Minęły cztery dni od planowanego ataku Przyływu, a ten nie następował. Stalliongrad zażegnał kolejne zagrożenie, a ja byłam częścią tego rozwiązania. Moi przyjaciele zebrali się w salonie na dole, a ich radosne głosy dodawały mi otuchy.

Frosty stał przy oknie w moim pokoju i patrzył w niebo. Stalliongrad wciąż świętował nowy rok z właściwym sobie przepychem. Fajerwerki nad niedostępnymi dla takich jak ja niezrównanymi dzielnicami wciąż rozświetlały niebo kolorowymi wybuchami. W porcie za oknem oświetlone cudownymi lampionami łodzie nadawały sztucznemu jezioru mistycznego wyglądu.

Wstałam z łóżka i powoli podeszłam do mojego przyjaciela. Mój róg rozbłysł i pokrył moje kopyto magicznym szponem, który położyłam wkrótce na jego, opartym na parapecie. Popatrzył na mnie z uśmiechem i potarł swoim czołem o moją skroń. Spojrzałam w jego oczy i delikatnie przysunęłam się do niego, tak że stykaliśmy się boczками. Rozchyliłam usta i pocałowałam go w jego błądy dziób.

Zdziwił się temu, ale wkrótce odwzajemnił ten gest delikatnie trącąc mnie jego czubkiem.

– Jak całują się hipogryfy? – spytałam go cicho.

– Pocieramy się dziobami... Ale to raczej pocałunek przyjaciół lub rodziny – odpowiedział po chwili, mrucząc mi cicho do ucha.

– A jak całują się zakochani? – otarłam się czołem o jego podbródek.

– Troszkę... Dziwnie... Niezręcznie... – zawstydził się. – Rozchyłamy dzioby i nieco się zakleszczają. Jeśli partner lub partnerka ma pyszczek, musimy być ostrożni by... – położyłam mu kopytko na dziobie i uciszyłam go. Zamknęłam oczy i rozchyliłam usta w oczekiwaniu.

Spróbowałismy.

Pamiętałam inne uczucie, gdy całowałam zwykłe usta, ale nie było to, aż tak dziwne. Frosty przytulił mnie i delikatnie głaskał, dając mi tyleż wyczekanej czułości. Czułam się lepiej. Bezpiecznie. Frosty był ze mną naprawdę i nikt mi nie mógł tego odebrać.

Zeszliśmy na dół, do wszystkich. Moi przyjaciele powitali nas uśmiechami i radością. Gallant obrzucił nas rozumiejącym, rozbawionym spojrzeniem i usmiechnął się szeroko. Szybko jednak jego uśmiech stał się zaproszeniem dla Sun Beam, która chwyciła go za ucho zębami i pociągnęła go czule w swoją stronę.

Grease zaśmiała się na to i zrobiła dla mnie i Frostyego miejsce obok siebie, na kanapie. Szybko otoczyła mnie swoim matczynym ramieniem i spytała jak się czuję. Nieopodal, Killerdose lewitował szczapkę drewna do ognia w kominku, a Peach Ball manipulowała za pomocą swojego uszponionego kopytka pogrzebaczem pośród popiołów i w głos dokuczała doktorowi robiąc sobie urocze żarty z jego akcentu. Pomimo iż brakowało tu jeszcze jednej osoby czułam, że jestem otoczona przez przyjaciół, rodzinę.

Znalazłam swoje miejsce w Pustkowiach.

Przypis:

Nowy Poziom!

Nowy Profit :

Czarna Wdowa - Otrzymujesz 10% do obrażeń zadawanych przeciwnikom płci przeciwnej. Ponadto od czasu do czasu będziesz mieć dostęp do unikalnych opcji dialogowych podczas rozmów z kucykami płci przeciwnej.

Nowe Zaklęcia!

Pajęczy Chód - Grawitacja to opium dla mas! Tak długo jak zachowujesz koncentrację, twoja magia pozwala ci chodzić po dowolnej powierzchni tak, jakby była ona ziemią.

Sygnaturowe:

Eteryczne Szpony - Potrafisz wytwarzać chwytne kończyny przy użyciu swojej magii. Gdy są przyłączone do wcześniej istniejącej kończyny, związana z nimi telekineza nie obciąża twojej koncentracji ani nie powoduje wypalenia. Nie można jednak użyć gdy wypalenie miało już miejsce.

Ad Autorem:

Cóż, to była wycieczka, z pisaniem tego rozdziału, nieprawdaż? Napisanie go zajęło ponad rok, pełen emocji i wydarzeń, które zmieniły moje życie diametralnie. Sparkplug także przeszła ogromne przemiany. Od małej, przestraszonej klaczki do walczącej o sprawiedliwość młodej klaczy pełnej nadziei. W czasie tej podróży porzuciła swoje dzieciństwo, wyciągnęła z niego naukę i stała się silniejszą osobą.

Nie jestem pewien kiedy ruszą prace nad następnym story arciem, podejrzewam, że po nowym roku, jednak może się to przedłużyć z prostego powodu: fic jest obecnie tłumaczony na język angielski, by móc trafić do większej ilości czytelników. Każdy chętny do pomocy z tłumaczeniem jest mile widziany. Możecie się ze mną skontaktować zostawiając tu komentarz, lub pisząc na 3262618 na gadu-gadu (mogę dopytywać o co chodzi) oraz na mojego maila: arturmical@gmail.com

Chciałbym serdecznie podziękować Świeżemu Rekrutowi z forum MLPolska za jego nieocenioną pomoc przy korekcie. Dziękuję ci za szybką i rzetelną robotę stary, to że się jej podjąłeś pomimo, że nie lubisz materiału źródłowego tylko umacnia moją wdzięczność. Jesteś super.

Chciałbym także podziękować mojemu dotychczasowemu korektorowi, Gandzi, którzy niestety musiał zaprzestać pracy nad projektem. Jesteś super, zwłaszcza że musiałeś znosić i korygować moje wczesne fanaberie językowe!

Na sam koniec, pragnąłbym podziękować KKat za stworzenie tego uniwersum oraz za jej pomoc techniczną, jaką mi okazała i za to, że podarowała nam tę cudowną społeczność jaką jest Fallout: Equestria, jak również wszystkim twórcom rozwijającym ten twór dalej, którzy stanowili dla mnie inspirację. Bez was nie byłoby tego opowiadania! Jesteście super!